PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego

WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI
XVIII, XIX i XX.



Roznosicielka wody.

TOM I

obejmujący
zeszyty 1—6

oraz
Album portretów
Serja I.

CENA zł. 3.

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY
w DOMU
KSIĄŻKI POLSKIEJ
Plac Trzech Krzyży
№ 8.
1928 r.

PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego

WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI XVIII, XIX i XX.

LATA
UNIWERSYTECKIE
w SZKOLE GŁÓWNEJ
w WARSZAWIE
1865 — 1869.

Wydział
Prawa i Administracji.

BRACIOM SWOIM
I KOLEGOM
PAMIĘTNIKI TE
I WSPOMNIENIA
MŁODOŚCI
WSPÓLNIE
PRZEBYTEJ
POŚWIĘCA
AUTOR.

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY
w KSIĘGARNI
GEBETHNERA
i WOLFFA
1922 r.

Zeszyt 6.

Odbito w tłoczni p. f. „St Święcki" w Kielcach
w małej ilości egzemplarzy.

V.

Lata uniwersyteckie w Szkole głównej w Warszawie (1863 — 1869 r.).

Wydział prawa i administracji.

W końcu wakacyj letnich 1865 roku, jak zwykle przed rozpoczęciem wykładów uniwersyteckich w Szkole głównej, zaczęli się zjeżdżać gromadnie z różnych stron kraju studenci wszystkich wydziałów.

Jednego dnia w końcu września, wczesnym rankiem zakołatał ktoś mocno klamką do mego mieszkania przy ulicy Chmielnej. Był to kolega mój zeszłoroczny z wydziału przyrodniczego Józef Ancypa, syn sędziego z Płocka, przybyły parowcem Wisłą do mnie na mieszkanie. Oddałem mu pokoik środkowy, w którym się zaraz rozgościł. Dla siebie wyłącznie zatrzymałem, podobnie jak w roku zeszłym, pokój ostatni z oknem na bujne ogrody, okryte jeszcze w jesieni tu i owdzie owocem różnobarwnym, dojrzewającym na słońcu.

Józiek, przezywany przez kolegów „ta Ancypa" rozpakował i poukładał swoje rzeczy, a po herbacie poszliśmy niezwłocznie na Plac Krasińskich zakupić drzewo opałowe na zimę. Sprowadziliśmy wkrótce dwa wielkie kloce sosnowe, które nam stróż domu Teodor ze swoim pomocnikiem spiłował, porąbał i wieczorem tegoż dnia zniósł do pierwszego pokoju naszego. Drzewo drobno porąbane ułożyliśmy pod ścianą koło pieca kaflowego, stojącego pośrodku, aby prędzej wyschło.

Po obiedzie poszedłem odwiedzić kolegów Holewińskich Wacka i Felka przyjaciela mego z gimnazjum kieleckiego. Mieszkali, jak zawsze, w oficynie pałacu Komisji sprawiedliwości od strony ulicy Podwala, gdzie mieli parę pokoi tak jak dawniej bezpłatnie od swego stryja, Władysława, dyrektora kancelarji tejże Komisji i zarazem profesora prawa cywilnego w Szkole głównej. Jako zięć p. Wosińskiego, dyrektora głównego Komisji sprawiedliwości, profesor Holewiński zajmował w jej gmachu obszerny apartament osobny.

U kolegów Holewińskich zastałem kilku świeżo przybyłych gimnazistów kielczan, niemających jeszcze mieszkania. Paru

z nich zaprosiłem zaraz do siebie na kwaterę tymczasową. Wkrótce też zabrali na dwie dorożki swoje rzeczy do mnie na ulicę Chmielną, i ulokowali się w pierwszym pokoiku, w kątach jeszcze wolnych, na ziemi na siennikach świeżo wypchanych przez naszego stróża.

Wieczór, przy wspólnej herbacie z mojego samowara, przepędziliśmy razem wesoło, opowiadając sobie przygody wakacyjne, i udzielając nawzajem informacyj warszawskich.

Nazajutrz po wczesnem śniadaniu udałem się do Bibljoteki głównej w Pałacu Kaźmirowskim, i tam w czytelni publicznej zapisałem książki potrzebne do moich studjów bieżących. Mianowicie dzieła ekonomiczne: Bastiata, Careya, Milla, Marksa i parę prawniczych.

Wieczorem poszedłem jeszcze na ulicę Pańską odwiedzić dawnych kolegów gimnazjalnych kieleckich: Ignasia i Stanisława Newelskich, studentów już zeszłorocznych wydziału prawa i administracji. U nich podobnie jak dawniej, zbierało się liczne kółko kolegów, przeważnie z gimnazjów kieleckiego i radomskiego. Tam przy herbacie i obfitych wiktuałach wiejskich, przysyłanych stale z Podlasia z majątku ich rodzicielskiego, prowadzono ożywione debaty. Rozprawiano z zapałem o najżywotniejszych sprawach krajowych, o najnowszych dziełach przeczytanych o wykładach profesorów, stosunkach koleżeńskich i t. p.

Liczba ogólna studentów Szkoły głównej, dosyć zmienna zwykle, przyrostu stałego nie okazywała. Widać to z cyfr poniższych zaczerpniętych z urzędowych „Wykazów Szkoły głównej" wydawanych od r. 1864 do 1869:

Rok	1862/3	półrocze	II	801 studentów.			
„	1863/4	„	I	602	II	559	studentów
„	1864/5	„	I	859	II	719	„
„	1865/6	„	I	1181	II	1035	„
„	1866/7	„	I	1270	II	1095	„
„	1867/8	„	I	1051	II	998	„
„	1868/9	„		595 studentów.			

Dokładnej ilości studentów, którzy w ciągu 7-letniego istnienia Szkoły głównej nauki pobierali, oznaczyć trudno, z powodu niedostępności źródeł urzędowych. Różnice bardzo znaczne między cyframi półrocza I a II go, np. w r. 1866/7, pochodzą przeważnie stąd, że zapisani w semestrze I nie byli dopuszczani do słuchania wykładów z powodu niewniesienia opłaty, czego znów przyczyną było ubóstwo.

Wydział prawa i administracji Szkoły głównej w r. 1865/6 był najliczniejszy. Z ogólnej bowiem ilości studentów około 1200, obejmował blisko połowę do 600; reszta przypadała na inne wydziały, przeważnie na medyczno-farmaceutyczny i przyrodniczo-matematyczny, najmniej na historyczno-filologiczny.

Wydział prawny był też wogóle bardziej arystokratyczny niż inne nasze fakultety. W kołach bowiem wielkopańskich na-

leżało podówczas do dobrego tonu przejść uniwersytet, choćby dla formy tylko powierzchownie. To też na wydział prawny wstępowali zwykle synowie rodów magnackich, młodzi hrabicze i książęta, a także synowie bogatych finansistów i właścicieli ziemskich. Niebrak tu było również i ze sfer demokratycznych młodzieży, która studja uniwersyteckie uważała za środek zdobycia sobie bytu lepszego i posad w sądownictwie, notarjacie lub adwokaturze. W tej ostatniej szukali karjery głównie studenci żydzi, dla których sądownictwo etatowe było zamknięte. Najbardziej demokratyczne były wydziały przyrodniczo-matematyczny i lekarski, na których jedynie zdolności wybitniejsze i praca gruntowna ułatwiały zdobycie stanowiska, majątku i sławy. Bogaci paniczykowie, nieskorzy do pracy usilnej, więcej dla blichtru przesuwający się przez podwoje uniwersyteckie, szli przeważnie na wydział prawny, jako stosunkowo łatwiejszy do przejścia i zbodycia dyplomu. Zresztą i wpośród znacznej liczby studentów prawników Szkoły głównej niebrak też było szczerze pracujących i zdolnych ludzi, którzy później zajęli stanowiska wybitne i rozwinęli wielce pożyteczną działalność społeczną, naukową i literacką.

Na naszym wydziale prawa i administracji prelekcje kursu I-go miały się już wkrótce rozpocząć. Żeby nie nosić się z grubemi foljałami, zrobiłem sobie kilka zeszytów zwyczajnych z papieru kancelaryjnego po kilka arkuszy, formatu 4-ki, z marginesami zagiętemi równo, do zapisek każdego przedmiotu wykładowego. Zeszyty owe, przez pół złożone, brałem do kieszeni bocznej munduru, po parę stosownie do potrzeby. Po zapełnieniu jednego zeszytu numerowałem je liczbą porządkową, a w końcu roku akademickiego dawałem do introligatora oprawić w czarne płótno. W ten sposób z każdego przedmiotu wykładanego miałem nieduży tom 4-to zapisek treściwych, przydatnych wielce do przejrzenia przed egzaminami. Niektórzy koledzy bliżej znajomi korzystali potem bardzo chętnie z tych moich skryptów, notowanych czytelnie i przejrzyście. Krótka osadka ze stalówką i mały kałamarzyk kieszonkowy stanowiły cały mój przybór piśmienny, niezaprzątający rąk wcale. Inni moi koledzy chodzili na wykłady niektórzy z dużemi tekami pod pachą, co uważałem za zbyt niewygodne; moje cienkie zeszyty kieszonkowe były nierównie praktyczniejsze.

W roku 1865/6 na I kursie prawników było paręset. Wskutek tego prelekcje nasze odbywały się w sali największej t. j. w auli uniwersyteckiej, na parterze pawilonu lewego od bramy głównej Pałacu Kaźmirowskiego w sąsiedztwie pałaców dawniej Uruskich i Potockich. Wejście do auli dla profesorów przowadziło przez drzwi środkowe i gabinet, na estradę nieco podwyższoną z katedrą. Dla studentów było wejście osobne przez drzwi pierwsze i przedsionek. Na wielkim plafonie auli, na tle błękitnem nieba i obłoków, widniała konstelacja pięciu

gwiazd promienistych, symbolów pięciu wydziałów nauk uniwersyteckich.

Całą aulę zajmowały liczne ławy, ustawione we dwa rzędy, z przejściem głównem przez środek i dwoma bocznemi przy ścianach. Okna tylko w ścianie prawej umieszczone, dawały widok na obszerny dziedziniec zasadzony klombami krzewów i drzew cienistych.

Stosownie do ogłoszeń uprzednich pierwsze prelekcje encyklopedji prawa rozpoczął profesor Józef Kasznica, człowiek w sile wieku, wysoki, szczupły, w paltocie długim czarnym i takimże kapeluszu cylindrze na głowie. Wykłady jego wygłaszane dość monotonnie, z jednostajną gestykulacją umiarkowaną nie budziły zajęcia żywszego. Zabarwione też były tendencją klerykalną przez ciągły nacisk na wysokie znaczenie prawa kanonicznego i przeciwstawianie Kościoła — Państwu.

Większe nierównie zainteresowanie słuchaczów widocznem było dla wykładów Instytucyj prawa rzymskiego, wygłaszanych przez sędziwego profesora Franciszka Maciejowskiego.

Historję prawa rzymskiego na kursie I rozpoczął właśnie podówczas wykładać młody profesor Teodor Dydyński, zainstalowany osobiście przez naszego rektora Mianowskiego.

Krom tego obowiązywały nas wykłady historji filozofji i logiki prof. Struwego, oraz historji powszechnej, mianowicie Chin i Wschodu starożytnego, znakomitego prof. Kowalewskiego; wreszcie historji rzymskiej prof. Plebańskiego, gromadzące mnóstwo słuchaczów nietylko wydziału historyczno-filologicznego lecz i naszego prawnego.

Obfity materjał dziejowy i piękne wspomnienia naszej wszechnicy ówczesnej, o jej znakomitym rektorze Mianowskim, o dziekanach, profesorach i studentach, obejmują między innemi dzieła p. t.:

„Siedmiolecie Szkoły głównej warszawskiej, 1862—1869 r., Wydział prawa i administracji (notatki do historji szkół prawa w Polsce)“ napisane przez Aleksandra Kraushara (Warszawa—Kraków, Gebetner i Wolff, 1883, 8-ka, str. 279).

„Księga pamiątkowa zjazdu b. wychowańców b. Szkoły głównej warszawskiej w 40-tą rocznicę jej założenia (Warszawa, 1905, druk K. Kowalewskiego, 4-ka w., cz. I str. LXXVII, cz. II str. 162). Część I tej księgi tłoczonej ozdobnie, ilustrowanej bogato portretami rektora, dziekanów i profesorów, oraz grupami wydziałowemi studentów, obejmuje słowo wstępne i liczne mowy wygłoszone na zjeździe; II część spis uczestników zjazdu, ułożony wydziałami i sekcjami, oraz spis rysunków czyli portretów i grup fotochemigraficznych wykonanych bardzo udatnie. W spisie b. studentów dodane są treściwe zapiski biograficzne i wykazy bibljograficzne ich prac drukowanych. Tam też znaleść można wiadomości dotyczące kolegów bliżej znajomych, oraz

ich losów późniejszych, jakkolwiek nie wszyscy podali tam odnośne szczegóły.

W auli uniwersyteckiej na wykładach kursu I wydziału prawa zajmowaliśmy miejsca dowolnie. Ja wybrałem sobie ławę średnią po lewej stronie katedry koło okien, aby mieć więcej światła do robienia zapisek. Obok mnie siadali dwaj koledzy, z którymi wkrótce zapoznałem się bliżej Byli to Leopold Mikulski i Henryk Elzenberg syn sekretarza synagogi warszawskiej.

Kolega Mikulski był ułomny garbaty, wzrostu małego, szczupły i zdrowia słabego młodzieniec sympatyczny, ubrany zawsze starannie. Aby nie chodzić daleko na wykłady mieszkał wpobliżu uniwersytetu, obok sąsiedniego szpitala św. Rocha na Krakowskiem Przedmieściu. Zajmował obszerny pokój o dwóch oknach słonecznych od południa, w oficynie domu na I piętrze. Miał bibljotekę podręczną doborową, złożoną z ksiąg prawniczych i filozoficznych, wpośród których przeważały dzieła materjalistów niemieckich: Vogta, Maleschotta, Ludwika Büchnera i w. in. Jako przyrodnik zamiłowany korzystałem chętnie z tych dzieł znakomitych badaczów, pożyczając je na czas dłuższy, nawzajem też udzielałem koledze Mikulskiemu z mojego księgozbioru dzieła Supińskiego, Bukle'a, Haeckla, Darwina i in. Leopold Mikulski był blizkim znajomym i przyjacielem Adama Wiślickiego młodego publicysty i dziennikarza, który właśnie wówczas zamyślał założyć własne czasopismo „Przegląd tygodniowy", jaki niebawem zaczął wychodzić w r. 1866, a Mikulski był jednym z pierwszych jego współpracowników.

Kolega Henryk Elzenberg był spokrewniony i blizki znajomy wydawcy i redaktora niedawno założonej „Gazety handlowej" Rudolfa Okręta, i studjował z zamiłowaniem ekonomikę i prawo handlowe.

Wychodząc razem po prelekcjach często prowadziliśmy debaty naukowe z dziedziny, która nas bliżej zajmowała. Wstępowaliśmy też nieraz do kolegi Mikulskiego na wspólną pogawędkę. Miedzy innemi zainteresowała go bardzo „Historja cywilizacji" Buckle'a w przekładzie polskim, użyczona przeze mnie do przestudjowania. Często też wspólnie rozważaliśmy kwestje dziejowe i społeczne analizowane tak głęboko w znakomitem dziele tego genjalnego historyka.

Jeden z najważniejszych rozdziałów „Historji cywylizacji" Buckla „O wpływie religji, literatury i rządu na rozwój społeczeństw" poleciłem przepisać dosłownie, za umówionem wynagrodzeniem, jednemu z kolegów, który czasowo mieszkał u mnie, Maksowi Lisowskiemu. Chciałem przez to zarazem przyjść mu z pomocą pieniężną w sposób delikatny, wiedząc że był chwilowo w trudnem położeniu.

Wówczas właśnie odwiedził mię dawny kolega gimnazjalny, kielczanin z wydziału historyczno-filologicznego, Walery Przybo-

rowski, i poprosił o przyjęcie na mieszkanie na czas jakiś, póki nie obejmie swego za korepetycje mu przyobiecanego. Po krótkiej naradzie z kolegą Ancypą, umieściłem Walerka z nim razem w pokoiku środkowym. Oddałem mu do spania kanapę wyścielaną ponieważ niemiał nietylko łóżka ale nawet siennika, a posiadał jedynie poduszkę skórzaną i kołdrę welnianą, którą przywiózł ze sobą w kuferku z innemi rzeczami, t. j. z bielizną, szklanką, spodkiem, łyżeczką, nożem i widelcem...

Wesoło też i gwarno było, mimo tych braków konfortu, w moich pokoikach na Chmielnej ulicy, z owymi kolegami, zwłaszcza wieczorem przy wspólnej herbacie z dużego samowara buchającego parą, przy ogniu strzelającym w piecu kaflowym i jasnem świetle mojej pięknej lampy naftowej w kształcie amfory greckiej.

Moi towarzysze mieszkania: Walery Przyborowskj, Józef Ancypa, Maksio Lisowski i Roman Jungiewicz dobrzy byli i mili chłopcy; radziliśmy sobie i pomagali we wszystkiem. Od czasu do czasu zaglądali też do nas dawni koledzy gimnazjalni, zwłaszcza kielczanie: Wacek i Felek Holewińscy, Feliks Rybarski i inni. A wtedy było jeszcze gwarniej. Niekiedy po wczesnej herbacie szliśmy wszyscy razem do Teatru wielkiego na operę, albo na jaki dramat Szekspirowski...

W Szekspirze też zaczytywał się ciągle podówczas Walery Przyborowski, były powstaniec i przyszły dziejopis ostatniego naszego Powstania. Wacek Holewiński zapalony miłośnik teatru, zakupił wówczas komplet dzieł Szekspira, w znakomitym francuzkim przekładzie Franciszka Hugo syna Wiktora Hugo. Kazał też zaraz oprawić pięknie w płótno, i pożyczał nam do czytania tomami.

Ja jednocześnie nabyłem, z wystawy księgarni Gebetnera i Wolfa, świetne studjum literackie Wiktora Hugo p. t. „William Shakespeare", napisane świeżo i wydane z powodu nowego przekładu francuskiego dzieł wielkiego dramaturga angielskiego przez syna autora „Nędzarzy". Jeden rozdział z owego studjum p. n. „Les génies et les masses", dla wydania drukiem przełożył na polski, na moją prośbę, młody literat Wojciechowski, znany pod pseudonimem Józefa z Mazowsza. Poznałem się z nim przez kolegę Mikulskiego w cukierni Semadeniego, na rogu ulicy Nowy Świat i Alei Jerozolimskiej. Tam bowiem zbierało się po południu na czarnej kawie, kółko studentów, młodych literatów i dziennikarzy. Między nimi także Aleksander Świętochowski, Józef Kotarbiński, Antoni i Władysław Sygietyńscy, Napoleon Kaliszewski (piszący pod pseudonimem Klina) przyjaciel Mikulskiego i wielu innych.

Wojciechowski, jako znany tłomacz i odtwórca wielce oryginalnego stylu Wiktora Hugo, z przekładu zamówionego przezemnie wywiązał się znakomicie. Niestety jednak, ówczesna cen-

zura rosyjska zabroniła tej publikacji; dopiero w kilka lat później, w r 1872, wydałem ten przekład w Krakowie moim nakładem, p. t. „Genjusze i ludy“. Oto kilka wielkich myśli przewodnich tam wygłoszonych:

„Pracować dla ludu — konieczność paląca!

„Duchowi ludzkiemu, rzecz wielkiej wagi w czasach w których żyjemy, równie jak realność — potrzebny jest ideał...

„Literatura, to tajemnica cywilizacji; poezja — tajemnica ideału. Oto dlaczego literatura jest potrzebą społeczną. Oto czemu poezja jest pożądaniem duszy.

„Przekształcenie tłumu w lud — to praca wzniosła!“

Jednocześnie dzieła ekonomiczno-społeczne Supińskiego (które też często pożyczałem kolegom do czytania) wywierały wpływ niemały w szerokich kołach studenckich. Zwłaszcza hasło „Wiedza i praca“, na jakie tak silny nacisk kładł ów znakomity badacz, poruszyło wszystkich poważniej myślących i parło do działalności pożytecznej.

Najpotężniej wszelako oddziaływał na nas wielki myśliciel angielski *Buckle*, którego *„Historja cywilizacji“* w przekładzie polskim, gorliwie była studjowana. Egzemplarz mój tego dzieła krążył ciągle w kole znajomych kolegów, a jego tomy przechodziły szybko z rąk do rąk.

Zasadnicze wywody owego znakomitego historjozofa były wśród nas przedmiotem rozpraw bardzo ożywionych. Mianowicie jego analiza głównych dźwigni cywilizacji i postępu, rozważanych z ogólnego stanowiska, gdzie Buckle wykazuje, iż wszelkie zmiany w rozwoju narodów zależą przeważnie od trzech czynników:

1) *od stopnia wiedzy* u najznakomitszych ludzi w narodzie;

2) *od kierunków tej wiedzy*, t. j. od przedmiotów ku którym się odnosi;

3) a nadewszystko *od rozpowszechnienia tej wiedzy* i swobody z jaką przenika wszystkie warstwy społeczeństwa.

Autor bezimienny X*, który podówczas brał żywy udział w życiu umysłowem naszych kół koleżeńskich i literackich, napisał później szkic w rodzaju pamiętnika, p. t. „Stara i młoda prasa, przyczynek do historji literatury ojczystej r. 1866 — 1872“ (wyd. w Petersburgu w r. 1897, str. 214). Po krótkim wstępie ogólnym o Szkole głównej warszawskiej i życiu studenckiem, autor mówi tam obszerniej o wpływie współczesnym Buckla:

„W tę porę silne na nas wrażenie wywarł Henryk Tomasz Buckle, którego dzieło „Historja cywilizacji“ ukazało się właśnie (1862 — 1865 r.) w przekładzie polskim Wł. Zawadzkiego we Lwowie. Jeden z naszych kolegów, który miał w Warszawie stryja dygnitarza i właściciela pięknej bibljoteki, przyniósł nam od niego to dzieło do czytania. Pochłanialiśmy je — i wrótce podzieliliśmy się na Bucklistów i Antybucklistów.

„W dobie, o której mówiliśmy, wogóle dzieło Buckla czytano z zapałem i dyskutowano nad niem.

„Bądź co bądź, dzieło to stało się powodem ożywienia niezwykłego wśród sfer studenckich, czyli ściślej mówiąc na wydziałach: prawnym i filologicznym. Jeden z kolegów naszych, Stanisław Czarnowski, znany później pisarz, przetłomaczył nawet na znak kultu Buckla jego broszurę p. t. „Wpływ kobiet na postęp wiedzy".

„Smiało powiedzieć mogę, że przewrot wywołany w kilka lat później w naszej literaturze przez t. zw. *pozytywistów*, miał swe źródło w książce owego autora angielskiego. Wywierał on ścisłością swego rozumowania, paradoksalnością wniosków i śmiałością przekonań — niezmiernie silne wrażenie na umysły i serca młode.

„Czasy zresztą były po temu odpowiednie. Na wszystkich duszach, na całem tem pokoleniu wyrosłem wśród huku gromów powstania, leżał niewypowiedziany smutek, rezultat gorących marzeń niespełnionych i zawodów bolesnych. Gdy to, co nauczono ich czcić w młodości zawiodło, rzucili się więc w stronę przeciwną, szukając ratunku. Ponieważ marzenia gubiły, więc je potępiono, i mówiono o liczeniu się z rzeczywistością, o trzeźwości, o potrzebie ścisłego rachunku z sobą.

„Dla takich usposobień Buckle był niejako wyrazem zupełnym tych pragnień i aspiracyj, jakie w duszach i umysłach lepszych młodzieży kiełkowały. Tylko głowy słabe, geszefciarskie, zajęte karjerą, mierne lub poprostu głupie — nie mogły należeć do Bucklistów i późniejszych *pozytywistów*".

Wrażenie głębokie, jakie wywarło pojawienie się przekładu polskiego „Historji cywilizacji" Buckla, porównać się da jedynie z potężnem oddziaływaniem na umysły w całym świecie, podobnie jak w Polsce, słynnej powieści Wiktora Hugo „Nędzarze" w swoim czasie.

Ja i koledzy moi, jeszcze w gimnazjum w Kielcach, czytając ten wspaniały utwór Hugona, podlegaliśmy jego czarowi. Potem w Warszawie: teorja Darwina, pisma Supińskiego, dramaty Szekspira, wreszcie dzieła Buckla, Büchnera i t. p. potężnie oddziaływały na młode umysły studentów Szkoły głównej i koła literacko-dziennikarskie, wywołując głęboki przełom ideowy...

Przełom ten charakteryzuje trafnie Bolesław Chlebowski w swojem studjum p. t. „Rozwój kultury polskiej" (wydanem w Warszawie w r. 1917) w oświetleniu dalszej perspektywy dziejowej (na str. 158—160):

„Klęska powstania i ruchu 1861—1864 r., dotykająca cały zabór rosyjski, a najsilniej poddane strasznej represji obszary Litwy, pisze Chlebowski, zdetronizowała władnącą duszami polskiemi mesjanistyczną i mistyczną ideologię, wysnutą z wizyj, wierzeń i wskazań poetów, i wywołała reakcję tłumionej, lekce-

ważonej umysłowości, która hasło swe: *wiedza jest potęgą* — przeciwstawiła Mickiewiczowskiemu: „miej serce i patrzaj w serce".

„Warszawa, skupiająca w sobie po r. 1864 całe życie duchowe zaboru rosyjskiego, zatamowane przez system Murawjewa w litewsko-ruskich prowincjach, stała się ogniskiem reakcji umysłowej, odbitej w prasie perjodycznej, i rozkwitającej w ciężkiem przesileniu twórczości literackiej, powieściowej przeważnie...

„Cechą umysłowości wytworzonej w ognisku warszawskiem, było szukanie w wiedzy zarówno oparcia dla zwątpiałych, zawiedzionych w swych dążeniach dusz polskich, jak wskazań dla życia zbiorowego w nowych, trudnych warunkach procesu społeczno-ekonomicznego przekształcenia pracy oświatowej, jak wreszcie oręża w walce o byt narodowy. Torownikami tego ruchu, szerzycielami nowych zasad byli wychowańcy krótkotrwałego, bo siedm tylko lat istniejącego uniwersytetu polskiego w Warszawie 1862 — 1869 r. (tak zw. Szkoły głównej) Miano *pozytywistów*, dawane im najczęściej, określa nietyle kierunek i dziedzinę ich dążeń umysłowych, pracy myśli, lecz jedynie źródło, z którego czerpią swe wskazania, w wypełniających ich dusze dążeniach społecznych, pracy oświatowej, kierownictwa życia narodowego, za pośrednictwem *prasy perjodycznej i twórczości literackiej*".

Również jasno i szeroko oświetla ówczesną ewolucję naszej umysłowości Jan Kucharzewski w swej pracy historycznej p. n. „Czasopiśmiennictwo polskie wieku XIX" (wyd. w Warszawie 1911 r., na str. 90 i nast.):

„W parę lat po Powstaniu styczniowem w czasopiśmiennictwie Królestwa polskiego zawrzała walka między „młodymi" a „starymi"; młodzi otrzymali niebawem miano *pozytywistów*. Właściwie w piśmiennictwie warszawskiem tego okresu pierwszy gruntownie wyjaśnił zasady pozytywizmu ksiądz Franciszek Krupiński, w rozprawie „Szkoła pozytywna", zamieszczonej w „Bibljotece warszawskiej" w r. 1868. Prąd umysłowy w Królestwie, oznaczony mianem pozytywizmu, bynajmniej nie jest jednoznaczny z pozytywizmem filozoficznym Augusta Comte'a. Zjawisko ochrzczone na gruncie warszawskim jako pozytywizm, stanowiło objaw dziejowy skomplikowany, na który złożyło się parę czynników. Pozytywizm warszawski miał: swą stronę naukowo-filozoficzną, swą stronę społeczno-ekonomiczną i stronę polityczno-narodową.

„Jako objaw naukowo-filozoficzny, pozytywizm stanowił *reakcję przeciwko obskurantyzmowi*, który zapanował w Królestwie polskiem zwłaszcza po roku 1850, a który był wytworem i braku oświaty narodowej, i wzmożonej cenzury, i wpływów reakcji europejskiej wogóle. W tem znaczeniu *pozytywizm* był dzieckiem udoskonalonego szkolnictwa z doby reform Wielopolskiego, zwłaszcza *dzieckiem Szkoły głównej* i przenikającej do kraju literatury

naukowej europejskiej. Pozytywiści występowali w obronie nauk ścisłych, z usunięciem na plan dalszy metafizyki i poezji t. j. oderwanej spekulacji, marzeń o idealnej przyszłości i zagłębiania się w przeszłość. Trzy te dziedziny umysłowe, według pozytywistów, zagarnęły myśl narodu w ciągu poprzedniego okresu, i wtrąciły ją w stan letargu i zastoju. Pozytywiści dążyli do europeizacji społeczeństwa, występowali przeciwko rozpowszechnionej w okresie poprzednim idealizacji bytu swojskiego i przeszłości rodzinnej, żądali wolności wiedzy, walczyli z klerykalizmem i zaściankowością.

„Jako objaw społeczno-ekonomiczny pozytywizm stanowi ciąg dalszy rozpoczętego już przedtem industrjalizmu i demokracji mieszczańskiej. Pozytywiści głosili korzyści uprzemysłowienia kraju, i dążyli do zredukowania roli ziemiaństwa, do wyrugowania szlachetczyzny z życia narodowego, wymagali zupełnej rehabilitacji w pojęciach ogółu pracy przemysłowej, handlowej, rzemieślniczej, wyrobniczej, zrównania tych zajęć i ich reprezentantów co do godności z ziemiaństwem...

„Jako kierunek polityczno-narodowy pozytywizm doradzał oparcie wszelkiego działania na warunkach istniejących, i zaniechania dążeń doraźnych do innego stanu rzeczy; wogóle zalecał odwrócenie uwagi narodu od zagadnień politycznych, zwrócenie zaś jej do zagadnień kulturalnych, do *pracy organicznej*...

„Pod względem kulturalno-społecznym, wedle Kucharzewskiego, byłto *program bojowy i postępowy, program młodych*, wygłaszany przez szereg lat z wielkim zapałem“.

Dążenia owe i potrzeba pracy usilnej dla podniesienia z ruin gospodarstwa krajowego i całego życia ekonomicznego, po burzliwych czasach ostatniego Powstania, przejawiły się przedewszystkiem w dziedzinie prasy perjodycznej i dziennikarstwa warszawskiego.

Wielu z wychowańców Szkoły głównej mianowicie prawników, mając przed sobą zamknięte szranki urzędowania w administracji coraz bardziej rusyfikowanej, a nawet i w sądownictwie, wzięło się gorliwie do pracy społeczno-ekonomicznej.

Założona w r. 1864 przez Rudolfa Okręta, właściciela Agencji telegraficznej warszawskiej *Gazeta handlowa*, stała się wkrótce ważnym organem prasy ówczesnej. Kolega mój z wydziału prawnego Henryk Elzenberg, przyjaciel redaktora Okręta, znając moje zamiłowanie w studjach społeczno-ekonomicznych oraz biegłość w językach niemieckim i francuskim, zachęcił mię do współpracownictwa w „Gazecie handlowej“. Zapoznał mię z jej redaktorem, i niebawem objąłem w tym dzienniku dział Kroniki ekonomiczno-handlowej.

Redakcja nasza mieściła się na parterze domu piętrowego przy ulicy Daniłowiczowskiej, obok zasobnej drukarni Bergera, na tyłach gmachu Ratusza warszawskiego, a naprzeciwko Syna-

gogi zajmującej część pałacu dawnej Bibljoteki Załuskich. Cichy to był zaułek, choć położony w samym środku Warszawy, wpobliżu Placu teatralnego W redakcji pracowałem w godzinach porannych, wolnych od wykładów uniwersyteckich.

Redaktor główny i wydawca „Gazety handlowej" pozostawił mi zupełną swobodę pióra, acz początkującemu współpracownikowi, znał bowiem moje specjalne przygotowanie w tej dziedzinie. W dziale Kroniki prowadzonym przeze mnie, skupiałem wszystko co mogło interesować czytelników „Gazety handlowej" — od Gdańska do Odesy i od Dniepru do Odry, nie spuszczając z oka całego Wschodu bliskiego i dalekiego, jako najpoważniejszego terenu ekspansji naszego handlu i przemysłu. Od czasu do czasu pomieszczałem też w fejletonie naszej „Gazety" artykuły obszerniejsze, jak np. „O źródłach nafty w Galicji, na Kaukazie i w Ameryce" i t. p.

Główny dział polityczny „Gazety handlowej" prowadził baron Butlar, poznańczyk, wytrawny znawca współczesnych stosunków międzynarodowych i dziejów polskich, towarzysz pracy cichy, bardzo miły i zacny Korespondenci „Gazety" nadsyłali najświeższe wiadomości z ognisk przemysłowo-handlowych kraju i zagranicy. Sprawozdania i kursy giełdowe prowadził bardzo starannie sam redaktor Okręt.

Niedziele, wolne od pracy redakcyjnej i wykładów uniwersyteckich, poświęcałem zwykle dalszym przechadzkom przed południem: do Parku łazienkowskiego, do Wierzbna, na Pragę lub na Saską Kępę łodzią przez Wisłę, o ile pogoda jesienna służyła.

Po południu zwykle odwiedzałem siostrzyckę moją Marynię w pensjonacie panny Szumowskiej w Alejach Jerozolimskich. Zanosiłem trochę świeżych owoców, czasem pakiet ciastek, lub wiązankę kwiatów, które bardzo lubiła. Także przysyłane pod moim adresem listy od rodziców, na które zwykle wspólnie odpisywaliśmy, a ja odnosiłem zaraz na pocztę. Co parę tygodni, za pozwoleniem przełożonej, zabierałem siostrę do stryjostwa Marcelich na herbatę wieczorną, a potem odprowadzałem wcześnie do pensjonatu, gdzie panował rygor niemal klasztorny i nastrój silnie klerykalny Prefektem czyli nauczycielem religji był tam ksiądz Sotkiewicz (późniejszy administrator archidiecezji warszawskiej a potem biskup sandomierski) W pensjonacie była kaplica domowa z organmelodikonem, przy akompaniamencie którego uczennice śpiewały pieśni religijne i odprawiały się nabożeństwa, msze i wspólne modlitwy. Jedna z nauczycielek miejscowych pensjonatu, panna Chwalibóg, wstąpiła później do klasztoru warszawskiego Wizytek jako zakonnica. Nastrój ów bigoteryjno-klerykalny, jakim też przepojone były wykłady nauk w tej szkole (zresztą wzorowej w swoim rodzaju) nie pozostał bez wpływu silnego na umysł i całe usposobienie mojej siostry, która w kilkanaście lat po wyjściu z tego pensjonatu, osierocona

po zgonie naszej ukochanej matki, wstąpiła również do zakonu Nazaretanek. Ale o tem potem! — Bądź co bądź kochałem moją siostrzyczkę najserdeczniej i starałem się być zawsze dla niej najlepszym bratem, pomimo przeciwieństwa naszych przekonań i usposobień duchowych. Ja sceptyk wolnomyślny stargałem już całkiem więzy ortodoksji kościelnej, jakiemi krępowano pod owe czasy młodzież szkolną — siostra moja oplątana siecią pajęczą ślepej wiary i wodzona na pasku rygorów nabożnych, uległa im całkowicie i poszła wreszcie później na służbę duchową swojej sfery jako mniszka....

Stryjostwo Marcelowie, w których domu przy ulicy Chmielnej stale mieszkałem, i wieczorami u nich często bywałem, prowadzili zawsze życie spokojne i ciche. Gości obcych bywało tam niewiele. Stryj Marceli, od czasu śmierci swego młodego jedynaka Kocia, zawsze smutny, pogrążony w swojej pracy biurowej jako radca Prokuratorji Królestwa polskiego, bardzo rzadko odwiedzał swych nielicznych znajomych; oni też równie rzadko bywali u stryja. Jeden z kolegów biurowych radca Mikoszewski, drugi stary przyjaciel stryja pan Matecki dyrektor gimnazjum z ulicy Długiej, zaglądali niekiedy do stryjostwa. Częściej pani Matecka, z młodą córką Marją i synem Leonem gimnazistą, odwiedzali stryjenkę. W niedziele lub święta przychodziły też niekiedy wieczorem nauczycielki domowe mojej stryjecznej siostry Mani: panny Dybowska i Szostakowska, oraz pan Okolski metr muzyki. Siostra bowiem stryjeczna, z powodu wątłego zdrowia uczyła się w domu prywatnie, aby nie narażać się na przeziębienie podczas słoty i mrozów zimowych.

Krewni ze wsi od czasu do czasu zaglądali też do stryjostwa Marcelich. Mianowicie brat stryjenki wuj Wiktor Czarnowski, dziedzic Waliszewa w Gostyńskiem, z żoną i córką Micią, synami Stasiem i Waciem, oraz ich nauczycielką domową języka francuskiego panną Emilją Prénier, śliczną młodziutką brunetką, o ustach karminowych z drobnemi ząbkami. Dalej wuj Faustyn Pruski, dziedzic wsi Prusy w Rawskiem, z żoną, córką Marją i synem Stasiem, którzy uczyli się w szkołach w Warszawie. Niekiedy pani Wiśniewska, bogata obywatelka wiejska, mieszkająca w Warszawie dla kształcenia swych dzieci: córki Mici i syna Wincentego studenta prawa. Wreszcie odwiedzali też czasem stryjostwo Marcelich kuzyni: Sylwin Czarnowski, jego siostra Scholcia, Gniazdowscy i niektórzy inni.

Więcej ożywiony był salon stryjenki Ignacowej, mieszkającej stale przy ulicy Wareckiej wpobliżu Nowego Swiata, na parterze. Córki stryjenki ,młode panienki: najstarsza Olcia, Marynia, Felcia i najmłodsza Tosia czyli Teodozja, chodziły w dalszym ciagu na pensję pani Guerin, mieszczącą się niedaleko przy ulicy Mazowieckiej. Odwiedzały je też dość często koleżanki, z któremi się bliżej przyjaźniły. Synowie stryjenki Ignacowej starszy Zdzisław i młodszy Władysław, gospodarujący

obaj w majątku odziedziczonym po śmierci ich ojca, stryja Ignacego, w Gostyńskiem we wsi Kąty z kilkoma folwarkami, przyjeżdżali do Warszawy dla załatwienia interesów urzędowych i gospodarczych, i przebywali po kilka dni u swej matki.

W niedziele i święta zbierało się tam towarzystwo liczniejsze na wieczorne herbaty. Bywali tam również panowie: Sygetyński, redaktor „Tygodnika rolniczego", z żoną, córką i synami Antonim muzykiem i Władysławem; Bajkowski radca Towarzystwa kredytowego ziemskiego z żoną i córką; p. Bogucki architekt z córkami koleżankami panienek domowych. Krom tego liczni młodzi znajomi synów stryjenki Ignacowej: ich sąsiad ze wsi p. Karol Grzybowski, pp. Duninowie Teodor medyk i Karol prawnik, Roszkowski, Mączewski, Swieżyński Mieczysław i w in.

Prócz u moich krewnych, bywałem też niekiedy w kilku innych domach znajomych. Panna Lucyna Mieroszewska nauczycielka mojej siostry w szkole p. Szumowskiej, osoba w średnim wieku, dawna koleżanka i przyjaciółka mojej matki, zaprosiła mię abym ją odwiedził. Mieszkała przy ulicy Swiętokrzyskiej na rogu Placu Wareckiego, u pani N* obywatelki ze wsi Szczecna z Kieleckiego. Pani N* zajmowała obszerny apartament na pierwszem piętrze od frontu. Przebywała w Warszawie dla kształcenia swego syna Wojciecha, zwanego zdrobniale Wosiem, swej krewnej Basi Darowskiej i kuzyna Michasia Romiszewskiego, mego dawnego kolegi ze szkół kieleckich. Obaj młodzi chodzili na wydział prawny, ale naukę traktowali raczej jako polor towarzyski, i więcej czasu niż wykładom poświęcali teatrowi i rozrywkom sportowym. Wosio, jako jedynak ropieszczony prowadził wesołe życie warszawskie z licznymi swymi rówieśnikami. To też w salonie pani N* zbierało się, zwykle w niedziele, liczne i modne towarzystwo, strojne młode panny i złota młodzież męska. Na rautach i zebraniach owych miejsce honorowe zajmował dawny znajomy i przyjaciel domu ksiądz prałat Domagalski, świetny kaznodzieja z Kielc, przebywający czasowo w Warszawie, publicysta klerykalny, autor broszury „Irlandja a Polska" i innych t. p. Goście pani N* zbierali się późno, około 9 lub 10-tej godziny wieczór; niektórzy przybywali dopiero po wyjściu z teatru, mianowicie Wosio ze swymi towarzyszami. Wesoły Wosio skończył później smutno: zawikłany bowiem na swojem gospodarstwie na wsi w grube długi wekslowe, odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru. W salonie jego matki w Warszawie bywałem zrazu rzadko, a po niejakim czasie przestałem tam chodzić; cały bowiem nastrój owego rozbawionego towarzystwa nie odpowiadał moim upodobaniom, przeszkadzał w moich studjach wymagających spokoju i ciszy.

Również nie nęciły mię zabawy i zebrania w salonach pani W*, bogatej obywatelki wiejskiej, zajmującej w pobliżu świetny apartament na I piętrze przy arystokratycznej ulicy Ma-

zowieckiej, gdzie bywała niekiedy moja stryjenka Marcelowa z córką i mnie tam wprowadziła. Córka pani W*, koleżanka moich sióstr stryjecznych, uczyła się w pensjonacie pani Guerin w sąsiedztwie przy ulicy Mazowieckiej, a syn Wincenty był studentem wydziału prawnego. Nauczycielką domową języka francuskiego i literatury córki pani W* była panna Hortensja Z*. młoda francuska bardzo ładna i dystyngowana.

Domów obywatelskich, w rodzaju wymienionych powyżej, było w Warszawie podówczas równie jak i później niemało; poczęści dla kształcenia dzieci przebywających w stolicy, poczęści dla życia towarzyskiego i zabaw publicznych w resursach i klubach, które bywały przeważnie areną występów dla panien na wydaniu, oraz dla mniej lub więcej zręcznych łowców posagowych.

Przeciwieństwem takich świetnych salonów i gromadnych zebrań towarzyskich, był cichy dom barona Butlara, kolegi mego z redakcji „Gazety handlowej". Korzystając z jego zaproszenia odwiedzałem go od czasu do czasu w jego skromnem mieszkaniu przy ulicy Leszno, gdzie jego młoda i światła małżonka brała zwykle żywy udział w naszych debatach o polityce i sprawach społecznych bieżących. Państwo B* mieli małego synka kilkoletniego chłopczyka rumianego, o bujnych jasnych kędziorach. Gdy po herbacie wieczornej, matka kładła go do łóżeczka, musiała mu dać do rączek dużą gazetę, którą mrucząc niby czytał, naśladując ojca swego zajętego zwykle gazetami, i powoli zasypiał. Bez gazety nie chciał iść spać ten mały literat. Z p. Butlarem najczęściej rozmawialiśmy o polityce bieżącej międzynarodowej i telegramach najświeższych Agencji „Gazety handlowej", które najprzód przechodziły przez nasze ręce. Raz była mowa o sprawach bałkańskich. Zauważyłem wówczas z naciskiem, że w sporze o wpływy na Bałkanach mocarstwa wschodnie Europy prędzej lub później muszą wszcząć wielką wojnę — a wtedy nastąpi oswobodzenie Polski, co też spełniło się nakoniec w latach 1914 — 1919!

U redaktora „Gazety handlowej" p. Rudolfa Okręta bywałem od czasu do czasu też w jego mieszkaniu przy ulicy Dzikiej, urządzonem podówczas skromnie choć dostatnio, na herbacie wieczornej. Prócz dwóch córek, młodych panienek, Stefy i Flory, zbierało się tam zwykle bliższe kółko familijne. Bywali tam: siostra redaktorowej panna Paprocka przełożona pensjonatu żeńskiego, ze swoim młodym bratem; kolega mój Henryk Elzenberg z swoją siostrą, właściciel drukarni Goldman, panowie Włoskiewicz i Butlar współpracownicy „Gazety handlowej", oraz parę innych osób. Ożywiona rozmowa o sprawach bieżących urozmaicona bywała grą redaktorowej i jej córek na fortepianie.

Moje sąsiadki z II-go piętra w domu stryja Marcelego — pani S* z córką jedynaczką panną Klotyldą, powróciły do War-

szawy późną jesienią z Stopnickiego ze Solca, gdzie przebywały na kuracji w kąpielach mineralnych. Po przyjeździe do Warszawy dowiedziały się wkrótce o nagłej niespodziewanej upadłości domu bankierskiego, którego szef Jakóbowski uciekł za granicę, wyłudziwszy wielkie kapitały od łatwowiernych klientów, przynęciwszy ich wypłatą z góry bardzo dużych procentów. Rozpoczęła się wkrótce likwidacja sądowa owej upadłości, z której po długich formalnościach, bardzo niewiele dostało się wierzycielom. Wobec tej katastrofy majątkowej, po utracie znacznego kapitału w owej upadłości i zmniejszeniu dochodów, pani S* ograniczyć musiała swe wydatki i zmienić wielkopański tryb życia na znacznie skromniejszy. Przedewszystkiem, dla oszczędzenia na komornem, pozostawiła sobie na użytek tylko dwa pokoje: sypialny i jadalny z kuchnią, odnajmując lokatorom za wysoką stosunkowo cenę salon frontowy umeblowany z konfortem, oraz gabinet od podwórza urządzony również wygodnie, ze wspólnym przedpokojem. Salon wynajął zaraz bogaty stary obywatel ze wsi, przybyły na zimę i na karnawał do Warszawy. Gabinet zajęła pani Emilja Z* z domu hrabianka K* de Paffary, młoda piękna rozwódka z Litwy. Nowi lokatorzy stołowali się u swojej gospodyni, która prowadziła wspólną kuchnię. Wieczorem służąca zanosiła do ich pokoi samowary kipiące. Pani Emilja Z* przychodziła niekiedy wieczorem na herbatę do pani S*, z której córką zaprzyjaźniła się wkrótce. Przy pierwszych moich odwiedzinach panna Klotylda zapoznała mię ze swoją nową lokatorką, której też wkrótce złożyłem pierwszą wizytę w jej gabinecie, przyozdobionym bardzo gustownie. Pani Emilja, dwudziestoletnia wysmukła błondynka, o bujnych splotach włosów z odcieniem złotawym i ciemnoszafirowych oczach, mówiła z lekkim akcentem litewskim nieco przeciągając. Na twarzy jej, o cerze delikatnej przejrzystej i ustach subtelnych, igrał zwykle uśmiech napół ironiczny, to znów pociągający, a jednocześnie zimne spojrzenie oczu niemal odpychało. Była to istota zagadkowa a zarazem interesująca, piękny meteor spadły nad mrocznym widnokręgiem grodu syreniego. Ubierała się zawsze czarno, w suknie obcisłe, uwydatniające jej gibką pełną kibić, o ruchach miękkich, harmonijnych. Herbatę pijała na sposób ruski z „prikuską", gryząc potrochu kawałeczki cukru drobnemi białemi ząbkami, dla silniejszego kontrastu słodyczy z goryczą popijanej mocnej herbaty. Naogół robiła wrażenie sympatyczne, pociągające....

Śniegi zaczęły już padać nadobre, i wkrótce usłała się się wyborna sanna. To też często z panną Klotyldą i jej piękną lokatorką robiliśmy przejażdżki sankami po parku łazienkowskim do Królikarni, niekiedy do Wilanowa gdy sprzyjała pogoda słoneczna.

Z pierwszemi śniegami wróciły ze wsi od krewnych dawne znajome nasze z sąsiedniego domu przy ulicy Chmielnej, panny

Julјeta i Justyna, córki francuza profesora L*. Ich kwiecisty salonik odżył znów wesołą muzyką pianina, śpiewem piosenek francuskich i polskich naprzemian. Panny L* odwiedzały często swą przyjaciółkę Klotyldę. Ja bywałem tam zwykle z moim kolegą Stasiem Juszyńskim, a wtedy wieczorem ruszaliśmy we dwoje sanek z brzmiącemi dzwonkami w Aleje ujazdowskie, do Parku, do Wierzbna na kawę wiejską, albo na Pragę za Wisłę. Tam, zaraz na mostem żelaznym na wybrzeżu, ciągnął się szereg domków parterowych, gdzie w zaciszych lokalach sprzedawano wyborne stare miody i pierniki toruńskie. Tam wstępowaliśmy z naszemi młodemi paniami dla rozgrzania się, a potem z powrotem do Warszawy, ożywionej już nadobre wielkomiejskim ruchem wieczornym.

Prócz moich sąsiadek, w domu stryja mieszkali przeważnie ciż sami lokatorzy co i w roku zeszłym 1864. Nad stryjem na I piętrze książe Sapieha obywatel z Wołynia; naprzeciwko hrabina Tyszkiewiczowa z córeczką Eufrozyną i synami Benedyktem i Włodzimierzem, studentami wydziału prawa, najmłodszym synkiem Michasiem, oraz ich nauczycielem domowym panem Grubeckim, pedagogiem znakomitym. Nad nimi na II piętrze: państwo Puhałowie z Mazowsza z dziećmi, a w oficynie drewnianej w podwórzu stolarz Ciszewski z rodziną i czeladzią swoją.

Na parterze naprzeciwko stryja, po drugiej stronie bramy wjazdowej, zajmowała tak jak dawniej obszerny lokal, złożony z czterech pokoi z przedpokojem, pani Dembowska, obywatelka ze wsi Zahajki w Lubelskiem, z córką 16-letnią i synem jedynakiem Czesławem, kolegą moim z kursu I wydziału prawa. Mieszkający u mnie kolega Józef Ancypa, matematyk, zaprzyjaźnił się z Czesławem D* i mnie z nim bliżej zapoznał. Czesio (wnuk kasztelana Dembowskiego) zajmowył duży pokój o dwóch oknach od podworca, z wejściem osobnem z przedpokoju.

Jednego dnia późnym wieczorem sypał gęsty śnieg i huczał wicher ponad dachami. Józiek Ancypa zaczął coś nadsłuchiwać podszedł do okna, uchylił lufcik, i mówi do mnie:

— „Zielona małpa" gra na organmelodykonie u Czesia, idę do niego; chodźmy razem, zabawimy się, zastaniemy tam pewno całą „wesołą bandę"....

Nie dałem się długo prosić. Odłożyłem na bok moje skrypta i książki, zgasiłem lampę, i poszliśmy zarzuciwszy palta na ramiona.

Ancypa na podwórzu podszedł pod okna Czesia i zagwizdał naśladując trele słowika; potem poszliśmy do drzwi od przedpokoju, gdzie zadzwonił w sposób niezwykły mówiąc do mnie:

— Uważaj! tak musisz zawsze, chcąc być wpuszczonym do Czesia, zagwizdać i zadzwonić w sposób umówiony, inaczej ci nie otworzą....

Gdy nas wpuszczono do pokoju bocznego, zastaliśmy tam już liczne towarzystwo — przy herbacie, wśród dymu z cygar i papierosów. Przy otwartych drzwiach pieca, w którym palił się duży ogień, siedział w fotelu Czesio z fajką na długim cybuchu bambusowym z bursztynem staroświeckim, i dorzucał z miną bardzo poważną potrochu drobny węgiel kamienny nabierany małą łopatką z wiadra blaszanego. Nie odrywając się od swej roboty, przywitał nas Czesio podając rękę:

— Witam kochanych radców! Ancypa nalej herbatę i siadajcie gdzie chcecie....

Zrobiono nam miejsce przy stole środkowym, obok dużego samowara, wielkiej patery kryształowej z herbatnikami, przy szeregu butelek koniaku i benedyktynki. Ancypa nalał sobie i mnie herbatę, przysunął koniak, cukiernicę, cytryny, i zapalił cygaro hawańskie wybrane z pudła drewnianego. Ja niepalący wcale, delektowałem się wyborną herbatą czystą wysokiego gatunku, przyrządzoną bardzo starannie i ze znawstwem w czajniku porcelanowym nakrytym serwetą

Przy ścianie między oknami, na zielonym stoliku, kilku kolegów milcząc grało w karty. Wszyscy tam obecni byli w ubraniach cywilnych, i jak zauważyłem tytułowali się wzajemnie „radcami". Ancypa, jako wtajemniczony, objaśnił mię, iż to działo się dla wyśmiania tytułomanji towarzyskiej....

Na szerokiej otomanie, pokrytej grubym dywanem, paru gości leżąc na dużych poduszkach safjanowych, rozmawiało półgłosem. Ancypa, trąciwszy mię i wskazując na nich, szepnął:

— Rudy Janek i Wysoki Michał układają plan dzisiejszej wyprawy na tańce nocne.... ale my się stąd wysuniemy wcześniej do domu; muszę się wyspać i iść jutro o ósmej rano na prelekcje. Na inny raz odłożymy tę hecę, tu nie robią nikomu przymusu....

Przy organmelodykonie w kącie, na małym taborecie siedział szczupły niski brunet z czupryną rozczochraną, zwany „Zielona małpa". Wyprawiając rękami i sobą różne łamańce gimnastyczne, wygrywał jakieś dzikie fantazje improwizowane, albo trawestował melodje znane z oper modnych. Nakoniec zmęczony swym niezwykłym koncertem, nagle przegiął się w tył, magnął koziołka i zaczął chodzić na obu rękach naokoło pokoju, głową nadół, wierzgając nogami. Potem zasiadł poważnie obok nas przy stole, nalał sobie herbaty z koniakiem, nałożył na bułkę sznycel szynki i jadł z apetytem. Mrugnął na Ancypę napełnił trzy kieliszeczki benedyktynką i trącił się z nami. Powoli popijaliśmy likier w towarzystwie „Zielonej małpy".

Był to dziwaczny młodzieniec, utalentowany wszechstronnie. Naśladował bardzo zręcznie gimnastyków i klownów cyrkowych, był muzykalny niezwykle, (a jak mówił mi kolega Ancypa) prowadził nawet badania folklorystyczne, z czem lubił się popisy-

wać, chełpiąc się, że jego specjalnością jest pornografja, do której ma już liczne materjały, jakie ma zamiar drukować w przekładzie na język grecki pod tytułem „Krypta dia".

— Moi męże uczeni, mówił z sarkazmem do nas, wiedzcie że choć nie jestem studentem uniwersytetu jak wy, ale nim o mały włos nie zostałem. Nie moja to wina lecz profesorów, którzy mię obcieli na egzaminie wstępnym. Mimo to jednak nie dałem za wygranę i prowadzę samodzielnie studja z dziedziny folkloru i pornografji. Mam już dużo cennych materjałów, spostrzeżeń i zapisek. Dziś miałem prawdziwe szczęście. Wyobraźcie sobie: wstępuję do antykwarza, sprzedać mu Biblję, niby Pismo święte, w bogatej starej oprawie. Nieźle mi za nią zapłacił, a przytem zrobiłem drugi świetny interes. Stary Zalcsztajn wyciągnął z kąta, pod sekretem, duży zeszyt litografowany z napisem: „Quatorzes manieres de foutre". Pyszne kompozycje o jakich się filozofom nie śniło, rysunek świetny konturowy, wydanie ozdobne paryskie. Targ w targ, dałem mu za to połowę tego co wziąłem za moję Biblję.

Spytałem antykwarza, czy nie ma co więcej w tym rodzaju?

— Dla czego ja nie mam mieć? Dla takiego znawcy jak pan ja zawsze muszę mieć coś.... W tym rodzaju pokażę panu, pod wielkim sekretem, jeszcze piękną rycinę kolorowaną przedstawiającą Izaaka i Rebekę przy studni....

— Oglądam, rzecz wcale dobra: w cieniu palm, przy studni kamiennej z linką na bloku, Rebeka półnaga zagląda przegięta czy się woda nabiera do wiadra — Izaak obejmuję Rebekę wpół od tyłu.... Targ w targ, dałem za to resztę mej zapłaty za moję Biblję. Rozochocony antykwarz wyjął z ukrytej szuflady, pod największym sekretem, coś jeszcze pyszniejszego: rycina foljo, delikatna litografja cudownie kolorowana.... Wyobraźcie sobie wspaniałą salę w Watykanie: na tronie siedzi Aleksander Borgia w otoczeniu dworzan; po przeciwnej stronie na galerji przygrywa orkiestra, wpośrodku tańczy z niewysłowionym wdziękiem dwanaście ślicznych młodych dziewcząt całkiem nagich.... Wziąłem zaraz to małe arcydzieło od starego wygi, ale na kredyt w komis do sprzedania, gdyż żądał ceny bardzo wysokiej. Zrazu nie chciał się zgodzić, ale w końcu mi zawierzył. Mam już na te wszystkie pikanterje amatorów zapalonych i grubo na tem zarobię! — przechwalała się „Zielona małpa" i prawiła dalej:

— Mam wspaniałą kolekcję kart przeświecających w tymże rodzaju, z rysunkami kolorowemi przechodzącemi najbujniejszą fantazję.... Niedawno znów przed tygodniem, wyobraźcie sobie idę na Stare Miasto do mojej protegowanej Fili. Na ulicy Dunaju szerokim gromadka dzieciaków obszarpanych tańczy wkółko trzymając się za ręce, i śpiewa:

„Štajera, majera, walca kręconego tańcowała, nie umiała! — Aż ją ciotka nauczała. Wsadziła jej... w nosek piórko, tak się tańczy — moja córko! Štajera, majera, walca kręconego już umiała. Tańcowała — do upadłego! hop la la, hop la la!

— Naturalnie, w tej chwili zapisałem sobie tę śliczną piosenkę z oryginalną melodją, ot widzicie w tym moim „Notesie". A potem znów, prawi dalej „Zielona małpa", na Dworcu kolei petersburskiej na Pradze, gdzie odprowadzałem znajome damy, po odejściu pociągu idę do tak zwanego ustępu, i na pierwszych drzwiach oddziału „Dla mężczyzn" spostrzegam taką rodzimą dumkę ukraińską, nakreśloną ołówkiem chemicznym:

„W worotach diewka sojała!"

. . . .

— Zaraz wam zaśpiewam!

Jednym skokiem „Zielona małpa" usiadł okrakiem na taborecie przy organmelodykonie, i zawył jak pies do księżyca ową dumkę, przy piekielnym akompanjamencie jakiegoś hajdamackiego kozaka.

Rudy Janek i Wysoki Michał zerwali się z otomany, i wychyliwszy parę kieliszków koniaku, zaczęli tańczyć wściekle owego kozaka, przyśpiewując dziko.

Tak zwykle zabawiała się „wesoła banda", jedno z cygańsko-łobuzowskich kółek, jakich niestety nie brakło w Warszawie podówczas wpośród studentów i młodzieży handlowej.

Korzystając z zamięszania wywołanego „kozaczkiem", dokończyłem mój kieliszek benedyktynki, i szepnąłem koledze Ancypie, że mam już dość tej hecy i czas nam do domu. Nie żegnając się z nikim, powiedzieliśmy dobranoc Czesiowi, który ciągle jeszcze milcząc, dorzucał łopatką drobny węgiel kamienny do pieca otwartego, i puszczał kłęby dymu ze swojej fajki na długim cybuchu....

Wychodząc, zamknęliśmy za sobą drzwi na zatrzask starannie, i poszliśmy zaraz do siebie nagórę, by się wyspać do naszej zwykłej pracy codziennej.

Niedługo potem, na zebraniu studenckiem u kolegi Mikulskiego, wniosłem projekt wspólnej prenumeraty kilku ważnych czasopism naukowych prawnych i ekonomicznych, dla pogłębienia naszych studjów uniwersyteckich najnowszemi badaniami znakomitych specjalistów z tej dziedziny. Postanowiliśmy zaabonować na cały rok przyszły 1866, w pobliskiej księgarni Wendego i Spółki, miesięczniki: „Journal des economistes", „Journal du droit administratif" oraz kilka innych t. p. czasopism francuskich i niemieckich. Po zamówieniu zrobionem przeze mnie księgarnia wydała odpowiedni rachunek, według którego koledzy biorący udział wnieśli przedpłatę przypadającą na każdego z nas. W ten sposób tańszym kosztem mieliśmy czasopisma fachowe, które potem uczestnicy otrzymywali kolejno na pewien czas do domu za pośrednictwem księgarni.

Ja dla siebie, z pensji mojej za współpracownictwo w „Gazecie handlowej“ zakupiłem też „Dictionnaire de l' èconomie politique“ Maurycego Blocka, w pięknej oprawie paryskiej. Wydawnictwo to, obejmujące mnóstwo gruntownych artykułów opracowanych przez najznakomitszych specjalistów, stanowiło wyborny podręcznik dla uzupełnienia wykładów.

Na zebraniach studenckich u kolegi Mikulskiego, w jego mieszkaniu na Krakowskiem Przedmieściu w pobliżu pomnika Kopernika, poznałem się bliżej z kolegą Janem Maurycym Kamińskim, który był zarazem sekretarzem „Towarzystwa wyścigów konnych“. Prezesem Towarzystwa tego był hrabia Maurycy Potocki, a biuro onego mieściło się obok kościoła Wizytek w oficynie jego pałacu. Tam też miał mieszkanie oficyjalne kolega Kamiński, którego czasem odwiedzałem. W biurze Towarzystwa bywał niekiedy syn hrabiego Maurycego — August, zwany popularnie Guciem, kolega nasz z I-go kursu prawa, znany w Warszawie z różnych ekscentrycznych przygód i miłostek, których bohaterką między innemi była podówczas słynna piękność Henrjeta C*.

W sąsiednim pałacu książąt Uruskich (później Czetwertyńskich) obok wjazdu do uniwersytetu, mieszkał w dziedzińcu w oficynie prawej mój dawny kolega ze szkół kieleckich Adaś Lipiński, także prawnik z I-go kursu. Odwiedzałem go też niekiedy, aby korzystać z jego zasobnej bibljoteki; on również bywał u mnie, jako uczestnik wspólnego abonamentu czasopism.

Nastały wreszcie ferje zimowe i Święta bożego narodzenia. Na tydzień przed tem poszedłem z siostrą, w pogodną niedzielę, do zakładu fotograficznego Sachowicza (obok kościoła świętokrzyskiego naprzeciw pomnika Kopernika) gdzie zrobiono nam tuzin kart biletowych wybornie wykonanych. Zdjęcie nasze wypadło w nastroju poważnym, z wyrazem twarzy nieco smutnym, gdyż i Święta zimowe mieliśmy przebyć zdala od domu rodziców i młodszej dziatwy. Napisaliśmy z siostrą razem obszerne listy, które z dołączeniem paru naszych fotografij wysłałem zawczasu w grubej kopercie poleconej pocztą. Niezadługo też nadeszły i do nas listy od rodziców z życzeniami świątecznemi i opłatkami.

Obok zakładu fotograficznego, w którym robiliśmy nasze zdjęcie z siostrą, mieszkał brat fotografa pan Sachowicz, artysta malarz znakomity specjalista jako restaurator starych obrazów. Jemu oddałem kilka płócien z dawnej galerji dziadka, jakie wuj Bogdan odzyskał od życzliwych znajomych mieszczan miechowskich, którzy po rabunku i spaleniu miasta Miechowa po krwawej bitwie lutowej 1863 roku, odebrali je od kozaków i żołdaków za niewielkie pieniądze lub parę flaszek wódki. Pan Sachowicz odrestaurował doskonale owe płótna znacznie uszkodzone; między innemi portrety Marji Kaźmiry żony króla Jana Sobieskiego, oraz portret króla Stefana Batorego, przebity bag-

netem koło twarzy. Po odnowieniu tych obrazów, za honorarjum bardzo umiarkowane, i oprawieniu w nowe ramy, odesłałem je wujowi starannie opakowane, koleją żelazną.

Wigilję i Święta bożego narodzenia spędziliśmy z siostrą u stryjostwa Marcelich, w kółku familijnem szczuplejszem, przenosząc się myślą do swoich bliskich, wspominając co tam porabiają nasi kochani rodzice, siostrzyczki i braciszek. Młodsza siostra Hania miała wówczas lat 8, brat Miecio 7; najmłodsza Milunia 5-letnia śliczna dziecina, była jak nam pisała mama ciągle wątła i często słaba mimo najstaranniejszej opieki i zabiegów lekarskich. Hania przygotowywała się w domu do szkoły, była bardzo żywego usposobienia i zawsze wesolutka. Pisywała do nas do Warszawy krótkie ładne listy, kreślone dużemi literami na liňjach, jakby kaligrafją. Parę z tych liścików z owych czasów kochanej drogiej siostrzyczki (zmarłej potem młodo w dwudziestym roku życia w jesieni 1878 r.) zachowało się w naszych papierach rodzinnych. Oto jak pisywała w stylu naiwnie dziecięcym, naśladując listy mamy:

„Kochane dzieci! Bardzo nam się przykrzy bez Was. Dlatego piszę do Was, bo mię gardło boli i nie moge się uczyć. Była okazja z Zagórza, Babcia przysłała nam wszystkiego do jedzenia, i napisałam do Babci. Wujaszek je zcze u nas nie był. Czyście też zdrowi, bo my nie. Była tu u mnie Marynia Zawadzka. Ojciec jej umarł, więc ią wzięła pani doktorowa Rodziewiczowa do siebie, a pani Miklas Genia. Mam nową sukienkę szpangoletową, paletko i kapelusz zimowy przerobiony, a Mieciowi Tatko jeszcze nic nie kazał zrobić! Całujemy Was serdecznie“.

Hania i Miecio.

A drugi liścik znów taki:

„Kochane dzieci! Może się niedługo zobaczemy z sobą. Chodziemy na spacer i zbieramy jałowiec dla nas i dla Babci do kadzenia. Był już u nas Wujcio i nauczył Mamę i mnie trzy kabały, a Miecia dwie bajeczki. Jak się też macie, bo my dosyć zdrowi, dzięki Bogu. Całujemy Was serdecznie“.

z Mieciem — Hania.

Nasi najdrożsi rodzice, zwłaszcza mama, w listach swych pełni byli troskliwości o nas, mianowicie o siostrzyczkę Marynię. Mama pamiętała o najdrobniejszych jej potrzebach, udzielała zawsze rad serdecznych iście macierzyńskich zachęt do nauki i gorliwego spełniania obowiązków.

Stryj Marceli i stryjenka darzyli nas również swą troskliwą opieką i pomocą w każdej potrzebie.

W drugi dzień Świąt bożego narodzenia byłem z siostrą u stryjenki Ignacowej na Wareckiej ulicy, gdzie zebrało się liczniejsze towarzystwo wieczorem, i przybyli ze wsi bracia stryjeczni Zdzisław i Władysław.

Wreszcie ferje świąteczne przeminęły szybko; wszystko wróciło do zwykłego porządku i pracy w murach szkolnych i uniwersyteckich.

Po nowym roku 1866 nastały mrozy silniejsze i spadły śniegi. Sanna była wyborna, ruch karnawałowy ożywił się. Sanki uwijały sie po całej Warszawie, dzwonki i janczary brzęczały wesoło. Nawet wielkie omnibusy kołowe zmieniono na sanne. Z paniami znajomemi robiliśmy znów spacery i szlichtady po Parku królewskim czyli Łazienkowskim, także do Wierzba lub do Wilanowa.

Koncerty popularne orkiestry Lewandowskiego w niedziele i święta, w wielkich salach Resursy obywatelskiej na Krakowskiem przedmieściu, były podówczas odwiedzane tłumnie przez sfery średnie mieszczańskie, a zwłaszcza przez młodzież warszawską pracującą. Było to wogóle miejsce spotkania, skąd zwykle udawano się na przyjęcia wieczorne do domów znajomych.

Tażsama orkiestra warszawska Lewandowskiego, w komplecie zmniejszonym, grywała na wielkich balach w tejże Resursie obywatelskiej i w Resursie kupieckiej, bardziej arystokratycznej. Bale owe, tłumne i świetne, gromadziły różne sfery towarzyskie Warszawy, a nawet i z prowincji. Na balach w Resursie kupieckiej bywał niekiedy ówczesny namiestnik carski w Królestwie polskiem (od 1 paźdz. 1861 r.) hrabia Berg. W osobnym salonie bocznym, w otoczeniu arystokracji, zasiadał przy zielonym stoliku do partji gry w karty o grube stawki. Razu jednego członek Resursy p. Herkner, wydawca i właściciel zakładu litograficznego, oprowadzał mię tam po wszystkich salach, udzielając objaśnień i spostrzeżeń o ważniejszych osobistościach towarzystwa ówczesnej Warszawy.

Nie biorąc udziału w tańcach i poprzestając na obserwacji wielkiego świata, po ogólnej lustracji tych jaśnie oświeconych salonów, po północy z gronem kolegów, otuleni w palta dążyliśmy sankami między najniższe sfery społeczne stolicy na tak zwaną Srebrną salę „Pod trzech murzynów“, na ulicę Ogrodową (równoległą do Leszna).

Tam na parterze w ogromnej nizkiej sali na galerji grzmiała huczna kapela na trąbach, klarnetach, skrzypcach i basetlach. Pośrodku kłębił się zapamiętale tłum tancerzy i tancerek wytupujących ogniście obertasa. Drugi tłum niemniej liczny otaczał koło tańczących i snuł się po izbach bocznych. Po każdym tańcu orkiestra cichła, kelnerzy otaczali grubym szpagatem tancerzy i wypuszczali parami, a każdy kawaler opłacał pięć groszy. Przy długim bufecie w izbie sąsiedniej zapijano wódkę, piwo, miód, zagryzając piernikami, chlebem, wędlinami, orzechami i innemi delikatesami. Opary dymu tytuniowego zmięszane z wyziewami ludzkiemi przyćmiewały światło lamp gazowych. Nagle w jednym kącie sali balowej wybuchły krzyki dzikie i klątwy brutalne, zamigotały w powietrzu pięście zaciśnięte. Jakiegoś

szubrawca wypychano za drzwi. Opierał się gwałtownie, więc mu ściągnięto buty i wyrzucono za okno. Za butami nieszczęśnik kułakowany wyskoczył sam raźnie, w obawie zapewne, aby nie wracać boso do domu po ciężkiej przygodzie. My też, nie czekając na nowe awantury, syci wrażeń z pod „Trzech murzynów", wymknęliśmy się na dalszy ciąg zabaw na Stare miasto do knajpy „Pod zdechłym zającem". W szynkowni tej najniższego rzędu, w głębi zaułka za tak zw. Krzywem Kołem, zbierały się szumowiny społeczne ostatniej klasy: pijacy, szulerzy, karciarze, oberwańcy, a nawet złoczyńcy różnego rodzaju. Najprzód tedy dwóch towarzyszów naszych, cywilnych bywalców a wytrawnych znawców Warszawy podziemnej, weszło tam na zwiady. Po dziesięciu minutach pauzy umówionej weszła za nimi reszta naszej kompanji, zajmując miejsca przy osobnych stolikach. Opodal od nas kilku łyków brodatych wypiło swoje piwo, położyło pieniądze na stole i wyszło szybko na ulicę. Szynkowniana Dulcynea, zebrawszy pieniądze, chcąc sprzątać kufle owych „gości" krzyknęła przeraźliwie! Nadszedł szynkarz, spojrzał w kufle i zaczął kląć na czem świat stoi! Gromadka gości otoczyła go i jęła wtórować w klątwach. Gospodarz rozwścieczony rozbijał kufle o podłogę, biorąc obecnych za świadków, że woli ponieść taką wielką stratę aniżeli popsuć „renomę" swojego zakładu, i podawać gościom trunek w naczyniach splugawionych łajnami końskiemi, jakie ci wisielcy powrzucali tam widocznie przez złość!...

My, korzystając z ogólnej wrzawy i zamięszania, zapłaciwszy pośpiesznie za nasze piwo drugiej dziewczynie rozczochranej jak Meduza, wymknęliśmy się pocichu na dwór. Ktoś z bardziej zapalczywych gości z „Pod zdechłego zająca" wypadł jeszcze z knajpy na ulicę wołać policji! Na szczęście byliśmy już daleko od tego przedpiekla, i w pierwszych napotkanych sankach sunęliśmy szybko w swoje strony do domu, by wypocząć po tych całonocnych bujaniach karnawałowych.

Nad Wisłą świtał już różowy poranek zimowy, a trzeba było choć trochę się przespać...

Gwarne bywały pod owe czasy maskarady warszawskie, odbywające się w styczniu co niedziela w nocy w salach redutowych Teatru wielkiego. Pierwsza i druga mijały ciszej, dopiero trzecia maskarada była tłumna, a następne znów mniej ożywione. Przed ową trzecią maskaradą dostałem w niedzielę rano wonny bilecik od mojej sąsiadki z drugiego piętra panny Klotyldy, abym stawił się na ulicy Miodowej w pałacu Dyzmańskich w mieszkaniu pani Z* na pierwszem piętrze od frontu, o godzinie 10-ej wieczór. Był to manewr maskaradowy niekiedy używany dla zmylenia śladu wybierania się na maskaradę. Naturalnie na wezwanie stawiłem się punktualnie. Prócz Klotyldy, zastałem tam w świetnym buduarze dwie moje młode znajome z domu sąsiedniego na Chmielnej ulicy: Julietę i Justynę.

— Jak to dobrze, zawołano chórem, że pan jesteś akuratny, czasu mało, a my nie możemy sobie dać rady z naszemi lokami...

No, i musiałem służyć tym młodym trzpiotkom za fryzjera, rozczesywać bujne warkocze, upinać fantazyjne sploty, tak aby się jak najbardziej różniły od zwykłego czesania codziennego. Poszło mi to dość składnie i szybko. Doradziłem jeszcze przypięcie kilku odpowiednich kwiatów sztucznych, nałożono maski, futra, i wszystko było naczas gotowe. Zawołałem sanki, i o północy wtłoczyliśmy się do pełnych już sal maskaradowych w Teatrze wielkim. Jakiś czas prowadziłem moje maseczki pod ręce, wkrótce jednak frunęły wszystkie w różne strony ze swojemi intryżkami. A ja niebawem poczułem jakby lekkie cięcie szpicrutą w ramię. Obejrzałem się i dostałem z przodu drugie cięcie. Przedemną stała wysmukła amazonka czarna w półmasce, w małym cylindrze na głowie z długim woalem i trenem zwieszonym przez rękę lewą, ze szpicrutą w prawej. Z ślicznych usteczek koralowych usłyszałem admonicję:

— Bałamucie z Chmielnej ulicy znam ja cię i ty mnie poznasz wkrótce... Idź pilnuj swoje gołąbeczki, żeby ci nie poginęły, a tymczasem adio caro mio! i ukazując ząbki perłowe w czarownym uśmiechu amazonka zniknęła szybko w tłumie masek...

Pod koniec karnawału, by do gruntu poznać życie Warszawy, jednej nocy przewędrowaliśmy z kolegami starszymi, bywalcami dawnymi, kilka wielkich sal tańca rozrzuconych przeważnie na Starem i Nowem Mieście. Ruch zaczynał się tam późno, zwykle około północy. Liczne salony i sztuczne groty z wodotryskami, przybrane zielenią i mnóstwem lampjonów, różnobarwnych, roiły się tam gwarem tancerzy przygodnych i tancerek nizko wydekoltowanych, w maskach i bez masek. Senni muzykanci brzdęczeli na fortepianach, skrzypcach i klarnetach ofenbachowskie kadryle, walce i galopady. Tu i owdzie nadsekwańscy guwernerzy bogatych paniczyków pouczali ich wierzgać wyuzdanego kankana. Maluczko, a niedawno jeszcze okryta żałobą Warszawa, miała ujrzeć na swym bruku zbryzganym krwią — prawdziwe paryskie „szansonistki".

Smutne nad wyraz były te choć wyjątkowe objawy reakcji chorobliwej po klęskach narodowych i zgnieceniu ostatniego Powstania. Wśród ogólnego przygnębienia stanem wojennym przewlekłym, reakcja owa rozwijała się, jak to zwykle bywa, po linji najmniejszego oporu: balowania, pohulanek, pijatyki, karciarstwa i rozpusty wszelkiego rodzaju, od najniższych do najwyższych sfer społecznych. Rząd rosyjski tolerował, a nawet podniecał tę zgniliznę, a natomiast tłumił i gnębił coraz bardziej usiłowania dodatnie pracy narodowej i swobody prasy...

„Wiek XIX był dla Polski (jak mówi pewien publicysta późniejszy) wiekiem niewoli, gwałtu i bezprawia"... Nieustanne

usiłowania narodu podniesienia się z upadku wydałyby niewątpliwie bujne owoce, gdyby one mogły dojrzewać w słońcu wolności. Nasze dawne ministerja oświaty, akademje, wielkie fundacje naukowe, uniwersytety królewskie, znakomite bibljoteki, muzea, stypendja szkolne dla młodzieży — zostały złupione, zrujnowane, zniszczone!

Miała za to Warszawa... świetny balet i operę włoską w Teatrze wielkim z primadonnami zagranicznemi i całym doborem tenorów, sopranów i basów. W sezonie zimowym grali włosi „Bal maskowy" Donizettiego, „Traviatę" Verdiego, „Don Juana" Mozarta, „Fausta" Gounoda i cały szereg innych oper. W dniach przerwy w Teatrze wielkim i Rozmaitości dawano Fredry „Geldhaba" i „Zemste za mur graniczny", niekiedy Szyllera „Zbójców" i niektóre dramaty Szekspira, obok francuskich sztuk i komedyj z Królikowskim, Żółkowskim, Bakałowiczową, Popielówną a później Modrzejowską w rolach głównych.

W poście mistrz Moniuszko, wespół z artystami opery polskiej, urządzał wielki koncert w salach redutowych Teatru, na wpisy dla niezamożnych studentów Szkoły głównej, co przynosiło niemałą pomoc w ich borykaniu się z biedą dla mozolnego zdobywania nauki.

Potem jeszcze szereg świetnych odczytów popularnych na cel dobroczynny wygłaszali nasi profesorowie Szkoły głównej w tychże salach redutowych — Plebański, Struve i inni.

W kołach młodzieży uniwersyteckiej i literacko-dziennikarskiej zajęcie wielkie obudziło podówczas nowe czasopismo liberalno-postępowe: „Przegląd tygodniowy", wydawany od nowego roku 1866 przez Adama Wiślickiego. I nic dziwnego. Gdy bowiem w pierwszych latach po stłumieniu ostatniego Powstania styczniowego kraj nasz pogrążony był w apatji i bezładzie duchowym, gdy zamarł głębszy ruch umysłowy, a natomiast wypełzły różne żywioły reakcyjne i wsteczne — natenczas Adam Wiślicki, młody człowiek niepospolitego talentu publicystycznego, miał odwagę wystąpić śmiało, gromić zacofanie i nawoływać do pracy na polu społecznem. Nowozałożony przezeń „Przegląd tygodniowy" podjął odrazu wysoko sztandar postępu, był zwiastunem potężnego rozwoju pracy organicznej i haseł t. zw. pozytywizmu. Nic też dziwnego, że nowe to czasopismo uważane było przez sfery wsteczne za wrogie ich tradycjom. Mimo to „Przegląd tygodniowy" skupił wkrótce koło siebie cały bojujący obóz pozytywistów warszawskich, i wywierał wpływ szeroki zwłaszcza na młodzież postępową. Pod względem bowiem społecznym program jego był postępowy, śmiały i bojowy, był programem „młodych" z zapałem wygłaszanym. Okres ów pozytywizmu przypada wprawdzie na epokę surowej cenzury; ponieważ jednak jego ataki nie godziły przeciwko rządowi lecz uderzały w przesądy, tradycje przestarzałe, wady i braki społeczeństwa

naszego — przeto cenzura nie kładła im tamy. W samym początku zresztą „Przegląd tygodniowy“ nie miał jeszcze barwy tak wyraźnej, z czasem dopiero, zwolna wszedł na właściwą mu drogę

Do gorliwych przyjaciół tego nowego organu prasy postępowej należało kółko moich kolegów uniwersyteckich, a między innymi: prawnicy Leopold Mikulski, Henryk Elzenberg, przyrodnik Bronisław Rajchman gorący Darwinista i inni. Redakcja „Przeglądu“, przy ulicy Nowolipie, mieściła się na I piętrze w małym pokoiku jasno wybielonym, umeblowanym bardzo skromnie. Przy oknie wił się wysoko krzew bluszczu zielonego. Za dużym stołem, założonym gazetami, przyjmował interesantów młody trzydziestoletni redaktor Adam Wiślicki, brunet długowłosy, z dużą czarną brodą, o wysokiem białem czole i bystrem spojrzeniu

Z pism codziennych ówczesnych sekundowała „Przeglądowi tygodniowemu“ życzliwie „Gazeta handlowa“, której byłem podówczas stałym współpracownikiem. Naturalnie w granicach jej programu specjalnego, przez popieranie postępu i rozwoju krajowego przemysłu i handlu, dając odpowiednie sprawozdania z piśmiennictwa, ruchu ekonomicznego i t. p.

Wśród pracy dziennikarskiej i uniwersyteckiej szybko schodził czas. Z wiosną nadeszły ferje wielkanocne. Siostra moja, po raz pierwszy zdala od domu w swym pensjonacie warszawskim, tęskniła i pragnęła coprędzej wyjechać na święta do rodziców. Pogoda wiosenna ustaliła się, więc urządziwszy zastępstwo w redakcji, wziąłem urlop na wyjazd, i wyruszyliśmy z Marynią koleją warszawsko-wiedeńską do Piotrkowa, a stamtąd karetką pocztową do Kielc, wreszcie wózkiem najętym do Chęcin.

Rodziców zastaliśmy w dobrem zdrowiu, równie jak siostrzyczkę Hanię i braciszka Miecia; tylko najmłodsza Milunia wątła zawsze niedomagała nieco. Z Warszawy przywieźliśmy ładne książeczki z obrazkami i pudło czekoladek dla tych „kochanych dzieci“, jak je nazywaliśmy, naśladując intytulację listów Hani pisywanych do nas przez tę ośmioletnią naszą mateczkę.

Ferje świąteczne minęły szybko na opowiadaniach wzajemnych i czytaniu listów od dziadziów z Zagórza, wujaszka Bogdana z Charsznicy oraz innych krewnych, z którymi mama nasza stale korespondowała.

Do Warszawy wróciliśmy z siostrą tą samą drogą przez Kielce i Piotrków szczęśliwie, by znów zabrać się do dalszej naszej pracy.

Wykłady uniwersyteckie w drugiem półroczu kursu I wydziału prawa szły w dalszym ciągu tych samych przedmiotów co w półroczu pierwszem. Encyklopedję prawa wykładał profesor Kasznica, historję prawa rzymskiego prof. Dydyński, Instytucje prawa rzymskiego Maciejowski, historję starożytną (Chin) Kowalewski, historję filozofji Henryk Struve.

W redakcji „Gazety handlowej", po czasowem zastępstwie przez kolegę Elzenberga, objąłem z powrotem dział kroniki ekonomicznej.

Z wiosną ciepła pora i coraz bujniejsza zieleń zaczęła znów ożywiać Warszawę. Rozkwitły sady, ogrody, parki i długie perspektywy Alei ujazdowskich, Jerozolimskich i innych. Cała dzielnica południowo-zachodnia, mało zabudowana jeszcze podówczas była jakby wielkiem miastem-ogrodem. Przy ulicy Chmielnej, gdzie mieszkałem, poza domem stryja mego, poczynając od pobliskiego rogu ulicy Szpitalnej i Zgody — ciągnął się prawie bez przerwy szereg domków parterowych, a dalej tu i owdzie długie parkany z szarych desek przy placach pustych, na których zieleniły się bujne ziemniaki, kapusta, a nawet kawałki obsiane jęczmieniem i owsem na paszę dla koni i krów chodowanych dość mnogo w mieście.

Przy rogu ulic Chmielnej i Zgody, w domku drewnianym z pięknym sadem, w którym rozłożyste jabłonie okryte były wiosną kwiatem białoróżowym, znajdowała się podówczas mleczarnia z wybornym nabiałem. Zachodziłem tam czasem na szklankę mleka świeżego lub talerz zsiadłego ze śmietaną i kawałkiem razowca.

Pobliskie Aleje jerozolimskie, czy to w stronę Wisły czy ku rogatkom krakowskim, były ciche i spokojne. Ocienione podwójnemi szeregami bujnych topoli włoskich, wysmukłych jak cyprysy, stanowiły miejsce miłej przechadzki, zwłaszcza wieczorem przy blaskach różowych zachodu słońca. Naprzeciwko dworca kolei wiedeńskiej, dom braci Hozerów, z cieplarnią egzotyczną przepięknych roślin: palmowych, dracen, paprociowych, przeróżnych odmian rododendronów, kamelji, azalji, kaktusów, róż, konwalji, fijołków i mnóstwa innych, z wzorowym sadem owocowym i mleczarnią szwajcarską, był rzadko odwiedzany tylko przez prawdziwych znawców i miłośników flory i pomony. Dalej nalewo od tychże Alei, między ulicami Żelazną, Nowogrodzką a Wspólną, w sąsiedztwie Ogrodu pomologicznego, rozciągał się wielki stary sad Folwarku Świętokrzyskiego. Tam w cieniu starych lip i drzew owocowych, wpośród grzęd bujnych jarzyn wszelakich, w altanie drewnianej podawano mleczywo, wyborną kawę białą i smaczny chleb wiejski. Zacisznie tam było wieczorem jak na wsi A zachodnio-północny wiatr przynosił powiewy świeże powietrza wonnego aromatem pobliskich pól i łąk zamiejskich, albo z wielkiej puszczy kampinoskiej z lewego brzegu Wisły.

Niedaleko też przy ulicy Koszykowej, na końcu ulicy Wielkiej, przy dawnych wałach miejskich, zniesionych później, (tam gdzie stoi Politechnika warszawska) rozciągał się mały park z pięknym stawem wpośrodku i starym pałacykiem zwany Koszyki. Nad wejściem do tej siedziby widniał napis Horacjuszowski: „Beatus qui procul negotiis". Ustronne to było miej-

sce, i rozkosznie się tam oddychało na słońcu po pracy i miejskim rozgwarze. Niekiedy tylko spotkać tam było można w cieniu gęstych klombów na ławeczkach młode pary szukające samotności zdala od ludzi. Czasem znów gromadkę wesołych pensjonarek, biegających swobodnie jak młode sarny po trawnikach półdzikich...

Przy ulicy Wiejskiej za Placem Aleksandra rozciągał się za sztachetami żelaznemi piękny park zwany Frascati, zacieniony gęsto starodrzewem, z wspaniałą aleją środkową. W późniejszym czasie właściciel hr. Branicki zbudował tam pałac piętrowy, mieszczący zbiory przyrodnicze i ornitologiczne zebrane w podróżach.

Przeciwieństwem tych zacisznych parków i sadów ustronnych były ożywione zawsze Aleje ujazdowskie, ogrody Doliny szwajcarskiej, Botaniki i Pałac łazienkowski z przepięknym parkiem, gdzie się kierował główny prąd spacerowy i jezdny z całej Warszawy. Gwarno tam było wszędzie i tłumno. Zwłaszcza popołudniu i wieczorami do późnej nocy w licznych kawiarniach i mleczarniach przy pięknej pogodzie.

Lubownicy dalszych wycieczek zamiejskich udawali się w Aleje belwederskie, do pieknych starych parków Sielec, Mokotowa, Wierzbna, Królikarni, Wilanowa, Natolina i in. — pieszo, konno, dorożkami lub karetami.

Ruch spacerowy w tej stronie Warszawy dosięgał punktu kulminacyjnego w lecie podczas wyścigów konnych na Polu mokotowskiem i dorocznego jarmarku świętojańskiego na wełnę w końcu czerwca.

Jarmark wełniany koncentrował się w składach Banku polskiego przy ulicy Nowogrodzkiej, wpobliżu dworca kolei warszawsko-wiedeńskiej. Zjazd zamożnych obywateli wiejskich oraz bogatych kupców krajowych i zagranicznych bywał podówczas bardzo liczny, i przyczyniał się do świetnego ożywienia naszej stolicy.

Redakcja „Gazety handlowej" i jej sprawozdawcy specjalni byli wtedy w pełnym ruchu, a buletyny odnośne tej „Gazety" były miarodajnemi dla świata kupieckiego.

Hotele i mieszkania prywatne zapełnione były przejezdnymi ze stron bliższych i dalszych. Teatry i koncerty w Dolinie szwajcarskiej orkiestry Bilsego, plac wyścigowy i ulice doń prowadzące tętniły życiem niezwykle ruchliwem.

Kolega nasz, Jan Maurycy Kamiński, jako sekretarz Towarzystwa wyścigów konnych udzielał kilku swoim bliżej znajomym kolegom bilety wejścia na arenę, pod trybunę sędziowską wyścigów, gdzie można było obserwować zblizka cały ruch wewnętrzny i rezultaty każdego biegu bardzo interesujące. Jako kronikarz i sprawozdawca redakcyjny „Gazety handlowej", korzystałem zwykle z takiego wstępu wolnego. Kolega Józio

Ancypa, mój towarzysz mieszkania, podejmował się też urzędu kontrolera wjazdu powozów na arenę wyścigową i paradował z wielką powagą z odpowiednią kartą przypiętą na kapeluszu.

Sąsiadka nasza, w domu stryja mego przy ulicy Chmielnej, pani Dembowska, zwykle wcześnie na wiosnę wyjeżdżała do swego dworu we wsi Zahajki w Lubelskie, dla doglądania swego gospodarstwa. Wtedy jej syn jedynak Czesław, a mój kolega z kursu I-go wydziału prawa, korzystał z pełnej swobody w obszernem mieszkaniu swej matki. Jego bliżsi znajomi i towarzysze: Rudy Janek, Wysoki Michał, Antek dzwoniarz (właściciel fabryki dzwonów kościelnych) Brandel młodszy fotografista i inni — cała tak zwana „wesoła banda" z „Zieloną Małpą" na czele, dopuszczali się tam niebywałych wybryków.

Przedewszystkiem kilku najserdeczniejszych kolegów Czesia sprowadzało się do paru wolnych pokojów na mieszkanie. Przeprowadzka odbywała się w sposób dość niezwykły, budzący podziw gawiedzi ulicznej i podwórzowej: Na noszach z taśmami, pożyczonych od stróża domu, układano pościel i graty takiego czasowego lokatora. On sam i paru jego kolegów ubranych we fraki, białe krawaty i rękawiczki, szapoklaki i lakierki balowe, nieśli tragi z rzeczami z dawnego mieszkania na nowe do Czesia.

Wieczorem nowy lokator, który zajmował pokój darmo nie płacąc wcale komornego, wyprawiał natomiast herbatkę tańcującą dla kolegów, którzy go przenosili i gości zaproszonych z ich damami, przeważnie pannami z magazynów mód i t. p. Późno w nocy całe to rozbawione towarzystwo odprowadzało tancerki do ich mieszkań walcując na chodnikach, a wokoło latarń gazowych zataczając ronda na komendę wodzireja:

— „Panowie i panie — rrrond!"

Innym razem „wesoła banda" wstępowała zwykle wieczorem do piwiarni ogródkowych w ten sposób, że według planu naprzód ułożonego jeden tylko z członków wszedłszy, zasiadł przy stoliku, kazał kelnerce przynieść sobie na tacy odrazu dwadzieścia kufli piwa i płacił za nie. Z powagą powoli wypijał jeden kufel, potem drugi, wreszcie zaczynał trzeci. Goście poprzednio przybyli, zaciekawieni co z tego będzie, otaczali mniemanego piwosza, czyniąc zakłady: czy on zdoła wypić wszystkie dwadzieścia kufli? Wtedy dopiero z ulicy wkraczało kilkunastu członków „wesołej bandy". Zdejmowali kapelusze cylindrowe i ustawiali je na środku stołu tworząc z nich kolumnę wysoką, co sprawiało również niemałe wrażenie na gapiach. Potem dopiero każdy wypijał swój kufel piwa, i wszyscy wychodzili na ulicę, gdzie znów długim szeregiem ruszali dalej gęsiego udając ruchy rowerzystów; pochyleni zginali i prostowali nogi, biegnąc jakiś czas do domu.

To znow zbierano się wieczorem w najruchliwszem miejscu Krakowskiego Przedmieścia, przy Saskim placu koło Hotelu

europejskiego. Jeden z bandy wskazywał towarzyszom laską jakąś gwiazdę na niebie coś mrucząc, inni udawali zdziwienie i długo wpatrywali się w niebo pokazując sobie wzajemnie coś niby nadzwyczajnego laskami. Aż zbierało się wokół kilkudziesięciu gapiów z otwartemi gębami wpatrujących się w gwiazdy niewiele wiedząc o co chodzi. Wtedy cała wesoła banda wycofywała się nieznacznie z tłumu. Po godzinie czasu wracano w to samo miejsce i znajdowano jeszcze gromadę nowych gapiów wpatrujących się w gwiazdy, i rozpowiadających różne bajdy o strasznej komecie, końcu świata i t. p.

Innym razem wesoła banda zasiadała na kilku ławkach w Alejach ujazdowskich. Jeden z towarzyszów, zwykle „Zielona małpa", obwinąwszy sobie całkiem twarz chustką od nosa i nasunąwszy kapelusz na oczy, kładł się na środku chodnika pod drzewem, stękał i jęczał okropnie. Wreszcie ktoś litością zdjęty szedł po strażnika stójkowego i sprowadzał dorożkę, aby odwieść do szpitala mniemanego chorego. Ten, zanim dorożka ze strażnikiem nadjechała, czmychał cichaczem, a towarzysze również osobno, zostawiając wszystkich na placu bezradnych wobec przekleństw dorożkarza i milicjanta wezwanych naprożno.

Podczas zabaw ludowych na Placu ujazdowskim (tam gdzie później założono piękny park) wkraczała wesoła banda gromadnie między tłum. Na Wysokiego Michała wskakiwał Rudy Janek, stojąc mu na ramionach mocno; na nich wdrapywał się zręcznie „Zielona małpa", stawał prosto na ramionach Janka — i ta potrójna piramida ludzka szła zwolna między lud, ku wielkiej uciesze gawiedzi. Wszyscy biegli za nimi, wołając „Patrzajta! idą pajace, będą pokazywać sztuki!" Zielona małpa i Rudy Janek zeskakiwali na ziemię nadstawiali kapelusze naprawo i nalewo, zbierając miedziaki rzucane chętnie przez widzów. Potem cała banda zasiadała na młynie djabelskim, sypiąc pieniądze zebrane między tłum, który rzucał się na nie rozpychając się zajadle i tarzając po ziemi. Powstawała wrzawa straszna, wśród której sprawcy zamięszania uchodzili pośpiesznie daleko, nie czekając na przybycie żandarmów.

W restauracjach wesoła banda po zjedzeniu i zapłaceniu obiadu, zawiązujac grzecznie rozmowy z najbliższemi sąsiadami częstowała ich mocną tabaką z ciemiężycą z tabakierek naprzód przygotowanych. Wśród ogólnego strasznego kichania banda wynosiła się szybko na ulicę, unikając złorzeczeń lub jeszcze gorszych następstw.

O tych wszystkich i wielu innych tym podobnych tak zwanych „kawałach" urządzanych przez „Wesołą bandę" opowiadał mi Józio Ancypa matematyk, mój towarzysz mieszkania, biorący nieraz udział w tych psich figlach.

Razu jednego Józiek wrócił nad ranem od Czesia D*, jak mówił, z bachanalji niepojętej, jaką wyprawiała w nocy cała

Wesoła banda z swemi towarzyszkami, na cześć Fili czyli panny Filomeny młodej blondynki, nieprzystępnej i nieczułej na wszelkie zabiegi miłosne.

Bachanalję ową rozpoczęła uwertura humorystyczna, wykonana przez Zieloną małpę na organmelodykonie, z towarzyszeniem orkiestry amatorskiej na grzebieniach owiniętych w papier różnej grubości.

Potem wniesiono do salonu wielką wazę z palącym się ponczem, samowar wrzący, przekąski zimne, ciasta, koniak i wino. Wpośród toastów na cześć Fili „Nieprzystępnej" urządzono wielki żywy obraz przedstawiający jej apoteozę.

Na dużej komodzie ustawiono stołek, na nim zasiadła Fila z włosem złotawym rozpuszczonym na ramiona wydekoltowane głęboko, trzymając w ręku dwa kandelabry trójramienne z zapalonemi świecami.

Przed komodą na taborecie wyścielanym stanął na głowie wspierając się rękami Zielona małpa, z nogami wyciągniętemi widłowato wgórę tuż przed Filą. Ta oba kandelabry postawiła na podeszwach butów Zielonej małpy z zachowaniem równowagi zupełnej. Wówczas rezległy się oklaski gości burzliwe i hymn chóralny:

O złotowłosa Wenus!
Z Olimpu bram zstąp
I miłości daj nam.....
Bo bez miłości każdy schnie!

Po chwili zdjęto kandelabry z świętemi światłami ze stóp Zielonej małpy, uwolnionej z trudnej pozycji, a mistrz ceremonji Rudy Janek zapowiedział żywy obraz następny:

— „Zwiędła biała lilja!"

Wysoki Michał podszedł z ceremonjalnym ukłonem do Fili, ujął ją silnie w pasie oburącz, i nagle uniósł wgórę obracając ją głową nadół a nogami dogóry! Wtedy momentalnie biała sukienka i spodniczki Fili zwisły ku ziemi, a piękne jej nóżki w majteczkach haftowanych wierzgały przez chwilę w powietrzu...

Rozległy się rzęsiste brawa panów i gromki chór z „Pięknej Heleny" Offenbacha:

Młodzież klasycyzmu się wyrzekła,
W kąt poszedł już piryjski tan,
I tańczy taniec rodem z piekła,
Patrzcie, gdzie tu klasyczny plan?
Dzink la la, dzink la la!
Tru la la, tru la la la la.

Poczem jeneralny kankan wszystkich par zakotłował się w całem mieszkaniu Czesia.

. . . .

Józiek A*, opowiadając nam z zachwytem o tem co się tam działo, wołał:

— Żałujcie żeście tam nie byli, bo szampan był boski! przyniósł go Czesio kilka butelek z balu od dziadka swego kasztelana....*)

Nietylko owa wesoła banda Czesia D* zabawiała się w taki sposób ekscentryczny, małpując obcą tak zwaną cyganerję. Przodował pod owe czasy w tym względzie, choć mniej hałaśliwie, inny kolega nasz z kursu I-go wydziału prawa hrabia Gucio Potocki, ze swoją małą ale dobraną kompanją. Głośna w całej Warszawie była kąpiel w szampanie pięknej baleryny włoskiej Fachini, wjazd na koniu hr. Gucia do cukierni Loursa w Hotelu europejskim dla wypicia kieliszka koniaku i inne t. p. farsy. Były to wybryki, na szczęście wyjątkowe tylko, bo mało młodzieży uniwersyteckiej brało w nich udział. Większość pracowała poważnie i gorliwie na polu nauki, literatury, dziennikarstwa i sztuki, nie schodząc na manowce.

Ale, niestety, na tym świecie
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

. . . .

Po dwóch latach stołowania mego w różnych restauracjach warszawskich mój żołądek i przewód pokarmowy zaczął nieco szwankować. Na szczęście wpośród profesorów wydziału lekarskiego naszej Szkoły głównej znajdował się podówczas znakomity lekarz dr Ignacy Baranowski, słynny diagnosta. Udałem się doń o poradę na ulicę Miodową, gdzie w domu Grabowskiego zajmował mieszkanie na parterze w dziedzińcu, zapewne gwoli ciszy. Poczekalnia doktora w godzinach popołudniowych zawsze była przepełniona. Porządek z garderobą i między pacjentami utrzymywał służący, który po wielu latach tej praktyki u swego pana uzbierał sobie podobno tak znaczny fundusz, że nabył ładną kamienicę. Przezacny doktór profesor Baranowski od studentów nie przyjmował wcale honorarjum. Zbadał mię bardzo starannie, zalecił kurację mlekiem kwaśnem i kąpiele wiślane, a podczas nadchodzących wakacyj letnich kąpiele mineralne w Solcu.

Korzystając z pory ciepłej w czerwcu zacząłem codzień chodzić do Wisły, do łazienek nawodnych przy młynie parowym na Solcu wpobliżu Alei Jerozolimskich, dokąd miałem niedaleko od siebie z ulicy Chmielnej.

W końcu czerwca otrzymałem poświadczenia, w mojej matrykule studenckiej słuchania wykładów I kursu prawa, profesorów: Maciejowskiego, Kasznicy, Dydyńskiego, Struwego i Kowalewskiego. Z początkiem lipca rozpoczęły się ferje uniwersyteckie, więc zaraz wziąłem urlop dwumiesięczny. W redakcji

*) Po usunięciu się margrabiego Wielopolskiego z Komisji wyznań i oświecenia, dla objęcia urzędu naczelnika rządu cywilnego Królestwa polskiego, stanowisko dyrektorów rzeczonej Komisji zajmowali czasowo: kasztelan Dembowski i Romuald Hube w czerwcu 1862 r.

„Gazety handlowej", w moim dziale kroniki ekonomicznej, zastąpił mię kolega Henryk Elzenberg.

Moja siostrzyczka Marynia ukończyła podówczas klasę III-cią w pensjonacie panny Szumowskiej pomyślnie. Była uczennicą zdolną, pilną, wzorową. Z nauk przyrodniczych, historji powszechnej, polskiej i języków nowożytnych otrzymała stopnie celujące. W końcu roku miała wszystko zawczasu przygotowane do wyjazdu na wakacje.

Po spakowaniu moich rzeczy i książek pożegnałem znajomych, krewnych i stryjostwo Marcelich, i zostawiłem u nich klucz od mego mieszkania. Stróż domu Teodor zabrał mój kuferek; po drodze wstąpiłem na róg ulicy Kruczej w Alejach Jerozolimskich do pensjonatu po siostrę. Z dworca kolei wiedeńskiej ruszyliśmy porannym pociągiem pospiesznym do Piotrkowa, stamtąd karetką pocztową do Kielc, stąd wózkiem najętym dostaliśmy się szczęśliwie do Chęcin do rodziców.

Uciecha z przybycia naszego była wielka. Mama przygotowała się już do wyjazdu na lato do dziadziów, którzy niebawem przysłali po nas karetę i wózek pod rzeczy. Ojciec jako prezes sądu poprawczego w Chęcinach, z powodu ważnych spraw kryminalnych, pozostał w domu. My z mamą i młodszem rodzeństwem wyruszyliśmy zaraz do Zagórza pod Miechowem.

Dziadka i babcię zastaliśmy w dobrem zdrowiu, krzątających się przy gospodarstwie. Mama z dziećmi zajęła swoje zwykłe mieszkanie letnie w willi obok dworu zwanej „Dziadzi domek". Nauczycielka siostrzyczki Hani, panna Paulina Niklewiczówna (koleżanka Maryni) zamieszkała tamże w pokoiku na piętrze. Hania, podówczas 8-letnia dziewczynka, przygotowywała się do szkół. Miecio 7-letni uczył się początków czytania, pisania i rachunków. Zresztą dziatwa korzystała w całej pełni ze swobody wiejskiej, używając przechadzek w pole i ruchu w pięknym parku dworskim w Zagórzu po całych dniach.

Brat mamy wuj Bogdan gospodarował jak dawniej w Charsznicy pobliskiej, ale często przyjeżdżał, zwykle konno, do dziadziów. Ciocia Wincentyna Zagórska z Gniazdowic rzadziej tu zaglądała po ciężkiej chorobie na wiosnę; zmuszona prowadzić długą kurację domową, w lecie wyjechała do kąpiel w Kissingen.

Ja, po krótkim wypoczynku w Zagórzu, wybrałem się do Zborowa dla używania kąpieli mineralnych słonych w pobliskim Solcu, wedle polecenia profesora doktora Baranowskiego. Wuj Bogdan dał mi w drogę swój lekki wózek zaprzężony w parę kasztanków, ze starym stangretem Pawłem Wyruszyłem wczesnym rankiem w połowie lipca przez Szkalbmierz i Wiślicę, przebywszy ośm mil drogi szybko.

Wieczorem stanąłem w Zborowie przed starym pałacem tamecznym. Zajmowali go teraz wujostwo Walchnowscy, po przeniesieniu się dziadka Karola Godeffroy, brata naszej babci, do Krakowa na stałe Ciocia Karolina doglądała skrzętnie go-

spodarstwa domowego, i zajęta była kształceniem swych córeczek, przy pomocy dwóch nauczycielek domowych. Wuj Ludwik Walchnowski, rolnik wzorowy, kierował żniwami, jeździł po swych licznych folwarkach, a także co tydzień zaglądał do Nizin swego dawnego dziedzictwa za Stopnicą.

Ja umieściłem się w pięknym słonecznym pokoju gościnnym, na drugiem piętrze pałacu od frontu, w sąsiedztwie młodego praktykanta gospodarczego. mego kolegi szkolnego Brokhousena. Od czasu moich lat dziecięcych, gdy zamieszkując z rodzicami w Stopnicy w pobliżu często bywałem w Zborowie, tameczne ogrody i sady dworskie rozrosły się jeszcze bujniej i wspanialej. Zajazd przed pałacem starannie zawsze utrzymany, błyszczał w słońcu różnobarwnem kwieciem, a gęste klomby i olbrzymie topole nadwiślańskie przeglądały się w jasnem źwierciadle wielkich stawów rybnych. Całe gospodarstwo było tam prowadzone intensywnie i wzorowo.

Codziennie chłopiec stajenny przyprowadzał mi wierzchowca osiodłanego lekko, na którym cwałowałem do pobliskiego zakładu kąpielowego w Solcu, i w parę godzin wracałem przed obiadem. Jadalnia dawniej mieszcząca się na pierwszem piętrze, przeniesiona została przez ciocię Karolinę na parter, aby bliżej i łatwiej nosić było potrawy z sąsiedniej kuchni dworskiej.

Do stołu, oprócz wujostwa, po nauce codziennej zasiadały ich trzy córeczki: Paulinka 11-letnia, Maniusia 8-letnia, Walercia 5-letnia i jedynaczek synek Jędruś 4-letni, pieszczoszek swojej mamusi nieodstępny; dalej dwie młode nauczycielki domowe: francuska paryżanka i czeszka mówiąca biegle po niemiecku; wreszcie p. Brokhousen praktykant i ja.

Po południu panienki z braciszkiem i nauczycielkami swemi szły zwykle na przechadzkę do sadów dworskich na owoce i jagody ogrodowe. Towarzyszyłem im tam często, przy czem rozmowa toczyła się zwykle po francusku dla wprawy w konwersacji. W wielkiej altanie o ścianach plecionych z gałęzi, utkanych mchem zielonym, krytej słomą, na dużym stole rysowałem w albumach panienek i na osobnych kartach dla Jędrusia przeróżne kwiaty, motyle i t. p., które im się bardzo podobały.

Wieczorami przeglądałem świeże gazety i moje podręczniki naukowe, a głównie Blocka „Dictionnaire de l'economie politique“, który z sobą zabrałem z Warszawy dla robienia zapisek.

Po herbacie całe towarzystwo domowe zbierało się zwykle na wielkim balkonie frontowym, i po ogólnej pogawędce wszyscy udawali się na wczesny spoczynek.

Wśród ciszy wiejskiej, gdyż gości bywało w lecie niewiele, upłynął szybko miesiąc mego pobytu w Zborowie u wujostwa Walchnowskich. Pożegnałem ich, dziękując za serdeczną i miłą gościnę, siostrzyczki, braciszka, domowników, i w połowie sierpnia wyruszyłem z powrotem do Zagórza.

Przed wyjazdem do Warszawy odwiedziłem brata mamy, wujaszka Bogdana w Charsznicy, skąd wpadliśmy jeszcze na parę dni do Krakowa dla załatwienia sprawunków.

Mama z młodszem rodzeństwem została dłużej w Zagórzu, a ja z siostrą Marynią w końcu sierpnia wyjechałem przez Pilicę do Zawiercia, najbliższej stacji kolei warszawskiej, na wczesny pociąg poranny.

Późnym wieczorem po godzinie 9-tej przybyliśmy szczęśliwie do Warszawy na dworzec wiedeński, jak zwykle. Nająwszy tragarza dla odniesienia bagażu, odprowadziłem moją siostrzyczkę na pobliską pensję w Alejach Jerozolimskich, a sam wkrótce przybyłem do domu. Stryjostwo jeszcze nie spali. Po herbacie i krótkiej rozmowie, o nowinach bieżących rodzinnych, wziąłem klucz od mego mieszkania, i ległem odpocząć po trudach podróży.

Nazajutrz, wstawszy wcześnie, pośpieszyłem przedewszystkiem do kancelarji uniwersyteckiej opłacić wpisowe na kurs II-gi prawa, i wynotować ogłoszenia profesorów o nowych prelekcjach w roku akademickim 1866—67. Profesor Władysław Holewiński rozpoczął wkrótce swoje znakomite wykłady Kodeksu cywilnego (które ogółem trwały trzy lata przez trzy kursy). Prof. Paweł Popiel wykładał Pandekta prawa rzymskiego; prof. Okęcki prawo familijne i spadkowe rzymskie; wreszcie prof. Antoni Białecki Encyklopedję umiejętności politycznych. Te cztery przedmioty obowiązkowe, wykładane po parę godzin tygodniowo, zostawiały mi sporo czasu wolnego. Z powodu wielkiej liczby słuchaczów prawa odbywały się taksamo jak w roku poprzednim w największej sali t. j. w auli uniwersyteckiej, w lewym pawilonie Pałacu Kaźmirowskiego.

Na pierwszych zaraz prelekcjach spotkałem się z kolegami sąsiadami z jednej ławki: Leopoldem Mikulskim i Henrykiem Elzenbergiem. Koledze Henrykowi podziękowałem za zastępstwo w „Gazecie handlowej", i wkrótce pośpieszyłem do redakcji objąć moją pracę codzienną w dziale kroniki ekonomicznej.

W redakcji wszystko szło podawnemu. Po letnim sezonie pod jesień zaczęło przybywać sporo nowych abonentów, i dziennik nasz ożywił się znacznie.

W pierwszą nadchodzącą niedzielę odwiedziłem po południu moją siostrzyczkę Marynię, która przeszła teraz do klasy IV-tej w pensjonacie panny Szumowskiej. Wziąłem z sobą gotowy mój list do rodziców, do którego dołączyłem list siostry w jednej kopercie, i wrzuciłem do wagonu pocztowego na pobliskim dworcu kolei wiedeńskiej, aby prędzej odeszły do domu.

Odwiedzałem też przy wolnym czasie stryjostwo Marcelich, stryjenkę Ignacową i sąsiadki moje dawne znajome, po ich powrocie z letnich mieszkań do Warszawy. Profesor L* francuz z dwiema córkami młodszemi Julią i Justyną przeniósł się od

1-go października z ulicy Chmielnej na ul. Złotą wpobliżu rogu ul. Zgody, do małego domu parterowego, gdzie najął mieszkanie od frontu, nieco większe od poprzedniego. Zamieszkała bowiem u niego trzecia córka najstarsza, która przybyła z prowincji do Warszawy na stałe.

Wkrótce też zjechał do mnie z Płocka mój towarzysz mieszkania kolega Józef Ancypa, student wydziału matematycznego, i zajął jak dawniej pokoik środkowy. Ja zajmowałem zawsze ostatni nieprzechodni, najcichszy, z oknem na drugiem piętrze wychodzącem na rozległe ogrody sąsiednie. Pokoik pierwszy mego mieszkania zapełnili niezadługo inni koledzy znajomi, którzy po przyjeździe do Warszawy nie zdążyli narazie znaleźć sobie kwatery, i tymczasowo u mnie gościli, bezpłatnie jak zwykle. Posługiwał nam wszystkim stróż domu Teodor lub jego żona. Gwarno więc było w naszym gołębniku na poddaszu i wesoło. Zwłaszcza wieczorami przy wspólnej herbacie z mego wielkiego samowaru, buchającego całą siłą pary. Odwiedzali nas dawni koledzy gimnazjalni, przeważnie kielczanie: Felicjan i Wacław Holewińscy (bratankowie naszego profesora Władysława Holewińskiego) Walery Przyborowski (późniejszy znakomity historyk Powstania styczniowego) Feliks Rybarski i inni.

U kolegi Rybarskiego filologa, który mieszkał niedaleko przy Placu 3 Krzyży, zbierali się też licznie studenci kielczanie i inni, przeważnie z wydziału filologiczno historycznego, na herbatach wieczornych przy sutej zastawie bułek i serdelków. Bywał tam często Juljan Ochorowicz przyrodnik, który już wówczas zajmował się gorliwie magnetyzmem i hypnotyzmem. Robił z nami próby podatności do hipnotyzacji, przy pomocy magnesu żelaznego w postaci pierścienia, który zakładał nam na średni palec ręki i inne eksperymenty.

Po wakacjach w Warszawie odbierałem w dalszym ciągu, z księgarni Wendego i Spółki, dla naszego kółka czytelniczego czasopisma zagraniczne prawne i ekonomiczne, zamówione przeze mnie na cały rok 1866. Wpośród nowych książek na wystawie księgarni pomienionej, spostrzegłem małą broszurę obejmującą nieznaną rozprawę Henryka Tomasza Buckle'a w osobnem wydaniu p. t. „The influence of woman on the progress of sience". Nabyłem ją zaraz, a po przeczytaniu wziąłem się do przekładu na polski. Rękopis przepisany na czysto, p. n. „Wpływ kobiet na postęp wiedzy", złożyłem w Komitecie cenzury, który mieścił się wówczas w średnim pawilonie Pałacu Kaźmirowskiego. W niedługim czasie stary cenzor Lachmanowicz oddał mi cały zeszyt bez wykreśleń, zatwierdzony do druku. W renomowanej tłoczni Karola Kowalewskiego (mieszczącej się przy ulicy Królewskiej naprzeciw Saskiego ogrodu w starym pałacu, dawniej należącym do marszałka Bielińskiego, później nazwanym Tivoli) zamówiłem papier i umówiłem się o cenę

druku. Po odbiciu okładki z datą nadchodzącego roku 1867, w ilości tysiąca egzemplarzy, po załatwieniu formalności Cenzury, oddałem tę broszurę na skład główny do księgarni Gebetnera i Wolfa, mającej najrozleglejsze stosunki z firmami polskiemi w kraju i zagranicą w Krakowie, Lwowie, Poznaniu i Wilnie. Sprzedaż tego pierwszego mojego nakładu, przy niskiej cenie 25 kopiejek czyli 50 groszy za egzemplarz, szła odrazu dobrze i koszty wkrótce zostały pokryte. To zachęciło mię później do dalszych wydawnictw.

Kolega mój Leopold Mikulski, po powrocie z feryj letnich z Kałuszyna do Warszawy, porzucił swoje dawne mieszkanie wpobliżu uniwersytetu, w oficynie w ciasnem długiem podwórzu bez słońca, w sąsiedztwie Szpitala św. Rocha, i przeniósł się nieco dalej na Krakowskie Przedmieście, naprost Saskiego Placu, do ładnej kamienicy, gdzie najął dwa pokoje wspólnie z naszym kolegą z II-go kursu prawa Zygmuntem Glogerem. Przyjaciel Mikulskiego Glogier, już wówczas zamiłowany wielce w ludoznawstwie i archeologji krajowej, zbierał cenne materjały i wykopaliska w okolicach swojej wsi Jeżewo, pod Tykocinem w Łomżyńskiem.

Z kolegą Mikulskim widywałem się codzień na prelekcjach, siadając z nim obok w jednej ławie, a także odwiedzałem go często wieczorami, gdyż mało z domu wychodził. Miał on doborowy księgozbiór, pomnażany od czasu do czasu nowemi dziełami znakomitszemi, które mi udzielał do czytania. Jako dawnego przyrodnika i darwinistę interesowały mię żywo dzieła Vogta, Moleschotta, Büchnera i t. p. Tego ostatniego miał Mikulski: „Natur und Geist" (wyd. 1857 r.), „Physiologische Bilder" (1861 r.), „Aus Natur und Wissenschaft" (1862 r.) oraz nowe wydanie ósme „Kraft und Stoff". Dzieła te, jak wiadomo, wywołały wielką burzę przeciw doktorowi Büchnerowi, który zmuszony był opuścić katedrę uniwersytecką w Tibindze, i przeniósł się dla praktyki lekarskiej do swego rodzinnego miasta Darmsztadu (gdzie się był urodził w r. 1824).

Kolega Mikulski korespondował z doktorem Ludwikiem Büchnerem w kwestjach naukowych. Jednego wieczora dał mi do przejrzenia świeżo otrzymany od Büchnera list z dnia 5 października 1866 r. W obszernem tem piśmie wyjaśniał doktór swoje poglądy na duszę zwierząt i żyjątek najniższych gatunków, a w końcu listu rzucił zapytanie:

„Haben Sie nicht Lust an „Kraft und Stoff" in das Polnische zu uebersetzen?" (Czy nie macie chęci przetłomaczyć „Kraft und Stoff" na polski?).

Pytanie to żywo nas zainteresowało. Nie debatując długo, postanowiliśmy dokonać owo tłomaczenie wspólnie, pomimo wielkich trudności cenzuralnych, jakie spotkały przekład tejże książki już dawniej dokonany przez Filipowicza, uwięzionego

w Cytadeli warszawskiej, o czem jednak trudno nam było dowiedzieć się dokładniej, pomimo starannych wywiadywań.

Kolega Mikulski, odpisując na list Büchnera, przedstawił mu owe trudności, wszelako co do podjęcia przekładu dał oddowiedź przychylną. Wkrótce też odpis d-ra Büchnera, datowany 23 października 1866 r, otrzymaliśmy dnia 26 tegoż miesiąca. Oryginał tego listu (który z dalszą odnośną korespondencją mam w ręku przechowany gdy to piszę w r. 1920) brzmi jak następuje:

„Darmstadt, 23 X 1866."

„Werther Herr Mikulski!

„Ihr Brief nebst Photograhie, für die ich herzlich danke, ist mir richtig zugegangen. Es freut mich sehr, das Sie auf die Idee einer polnischen Übersetzung an „Kraft und Stoff" eingehen.

„Die Pressverhaeltnisse dorten sind mir unbekannt, und müssten Sie darüber vorher Erkundigung einziehen.

„Die Übersetzung von Filipowicz scheint nicht erschienen zu sein; wenigstens habe ich seit langer Zeit kein Nachricht darüber erhalten. Also steht Ihnen dieser Umstand nicht im Wege.

„Wenn Sie die Übersetzung unternehmen, so fertigen Sie dieselbe jedenfalls nach der letzten oder achten Auflage, oder wenn es so lange Zeit hat noch besser nach der im Früjahr erscheinenden neunten Auflage.

„Hochachtungsvoll — Ihr ergebenst,"

L. Büchner.

Aby prędzej wykonać tłomaczenie „Siły i materji" podzieliliśmy tę książkę na trzy części: między Mikulskiego, Elzenberga i mnie, biorąc się do pracy tej gorliwie.

Parł nas do niej żywiołowo duch wieczny rewolucjonista. Jakby dalekie echo Wolterowego okrzyku: „Ecraser l'Infame!" Pragnienie gorące podkopania tronów trzech naszych tyranów zaborców Polski, cesarzów i królów — „z bożej łaski", a z nimi razem i tronu ich najwyższego protektora i łaskawcy, z jego namiestnikiem ziemskim, z całą jego hierarchią i podłą biurokracją despotów, gnębiącą narody i tamującą postęp ludzkości! Boć biedny człowiek na własne utrapienie stwarza całe gromady bogów na wzór i podobieństwo swoje. Nic ponad wolność! jak wzniośle woła poeta węgierski Petöfi:

„Oddałem wolność dla miłości...
„Lecz jeszcze chętniej porzucam miłość
„Dla odzyskania wolności!"

Wpośród nawału pracy naukowej uniwersyteckiej i redakcyjnej czas szybko schodził. Ferje zimowe i Święta bożego narodzenia przebyliśmy z siostrą w Warszawie u stryjostwa Marcelich. Na Święta wielkanocne natomiast wyjechaliśmy do rodziców do Chęcin.

W rocznicę moich urodzin d. 14 maja zebrało się u mnie kilkunastu kolegów, przeważnie Kielczan, na podwieczorek. Dzień był pogodny i ciepły. Dla ochłody przygotowałem parę karafek mleka, kilkanaście butelek piwa, obfitość bułek i wędlin. Przy herbacie wszczęły się gorące rozprawy polemiczne na tematy teoryj ewolucyjnych Darwina, historjozoficznych Buckla, materjalistyczno-filozoficznych Büchnera i t. p. Późnym wieczorem, dla uspokojenia umysłów ruszyliśmy gromadnie do Parku łazienkowskiego, tchnącego czarem wiosny, aromatem rozkwitających drzew i krzewów.

Tam też zwykle co niedziela po południu używaliśmy przechadzki. Punktem zbornym była olbrzymia topola nadwiślańska u stóp Ujazdowa rosnąca, pod której cieniem schodziliśmy się zwykle z kolegami: Mikulskim, Elzenbergiem i kilku innymi, spoczywając swobodnie na zielonej mórawie.

W końcu roku akademickiego odbywał się podówczas tak zwany egzamin środkowy ze wszystkich przedmiotów wykładanych na kursie I i II-gim. Moje zapiski treściwe, zebrane w zeszytach oprawionych razem w formie książek w czarne płótno, przydały mi się wtedy bardzo. Wstając wcześnie o świcie, odczytywałem je zwykle na świeżem powietrzu w Ogrodzie botanicznym lub w Parku łazienkowskim. To wystarczyło mi do pomyślnego zdania całego egzaminu, na co otrzymałem poświadczenie urzędowe w mojej matrykule, potwierdzone podpisem ówczesnegó naszego dziekana wydziału prawa profesora Józefa Kasznicy.

Moja siostra Marynia ukończyła również pomyślnie nauki w klasie IV-ej pensjonatu panny Szumowskiej ze stopniami celującemi z historji i nauk przyrodniczych, i otrzymała promocję do klasy V-tej.

Urządziwszy zastępstwo pracy mojej w redakcji „Gazety handlowej", wziąłem urlop studencki z kancelarji uniwersyteckiej, pożegnałem znajomych, krewnych i stryjostwo Marcelich. Od mojej sąsiadki z drugiego piętra w domu stryja Klotyldy S*, dowiedziałem się, że panny L*, córki profesora francuza, Juljeta i Justynka ze swoją starszą siostrą, która się niemi opiekowała, już wcześniej wyjechały na letnie mieszkanie w okolicy Marymontu za Warszawą, wpobliżu obozów wojskowych...

Po spakowaniu rzeczy wyjechałem razem z siostrą koleją warszawsko-wiedeńską do stacji Zawiercie, gdzie czekał na nas powóz przysłany zawczasu od dziadków z Zagórza. Siedm mil drogi z popasem w Pilicy, przejechaliśmy szybko po dobrej szosie i przybyliśmy na miejsce wieczorem.

W Zagórzu przywitanie, po długiem niewidzeniu, było bardzo radosne. Zastaliśmy tam już mamę naszą z młodszem rodzeństwem. Ojciec bowiem, jak zwykle z powodu zajęć sądowych, pozostał dłużej w Chęcinach, a potem korzystając z urlopu

wybrał się na kurację do kąpiel mineralnych w Solcu i do naszych krewnych w Zborowie.

Mama z młodszem rodzeństwem, jak corocznie, zajęła mieszkanie obok dworu w małej willi zwanej „Dziadzi domek" na parterze. Ja zaś na piętrze mały pokoik z balkonem od południa z rozległym widokiem na park i wielkie stawy wód zarosłe po brzegach oczeretami bujnemi, pełnemi dzikiego ptactwa. Zaciszny to był zakątek pełen słońca i światła.

W Zagórzu zastaliśmy wszystkich w dobrem zdrowiu. Gospodarstwo szło podawnemu na trzech folwarkach pod Miechowem, dzierżawionych od rządu przez dziadka, który sam wszystkiem kierował przy pomocy dwóch rządców. Babcia zawsze bardzo czynna i pracowita mimo wieku podeszłego, zajmowała się głównie gospodarstwem domowem i mlecznem, ogrodem i sadami owocowemi we wszystkich folwarkach. Wuj Bogdan, brat mamy, mieszkał jak dawniej i gospodarował w Charsznicy o milę za Miechowem i przyjeżdżał do Zagórza często, zwykle w niedziele i święta.

Moja najstarsza siostrzyczka Marynia, już 15-letnia panienka, po ukończeniu klasy IV-tej, pomagała potrochu podczas wakacyj swojej dawnej koleżance z Imbramowic, naszej nauczycielce domowej, pannie Paulinie Niklewiczównie, w przygotowaniu do szkół młodszej siostrzyczki 9-letniej Hani. Braciszek mój młodszy 8-letni Miecio i najmłodsza siostrzyczka 6-letnia Milunia korzystali jeszcze z całą swobodą z pobytu letniego na wsi u dziadziów. Chodziliśmy często wszyscy razem w pole do żniwa i na łąki pobliskie, do ślicznych źródeł zasilających stawy rybne w parku. Czasem wuj Bogdan zabierał nas na cały dzień do starego lasu jodłowego w Charsznicy na jagody i grzyby.

W połowie lipca w pogodną niedzielę po południu przyjechał wuj Edmund Zagórski, ze wsi Niegardowa (którą nabył w r. 1866 sprzedawszy Gniazdowice pod Proszowicami) i zaczął opowiadać o świetnej wystawie powszechnej urządzonej tego lata w Paryżu. Mówił, że po żniwach postanowił wybrać się dla jej zwiedzenia, i nakłaniał wuja Bogdana, aby z nim razem jechał. Niespodziewanie wkrótce potem wuj Bogdan wezwał mię do dziadka do jego gabinetu.

Gdy wszedłem tam zastałem dziadzię siedzącego w krześle przed wielkiem biurkiem, którego szuflada środkowa była wysunięta do połowy, a w niej błyszczały stosy nowych rubli srebrnych i rulony złotych imperjałów obok paczek z banknotami. Dziadek zapytał mię:

— Cóż chłopcze! czy miałbyś chęć jechać z wujami na wystawę powszechną do Paryża? Dałbym ci na koszty podróży...

Zawahałem się chwilę z odpowiedzią na tak ponętną propozycję, ale po namyśle podziękowałem serdecznie całując rękę dziadka i odrzekłem, że mimo wielkiej chęci, nie mogę korzystać

z tej sposobności, gdyż podjąłem się ważnej pracy naukowej, którą teraz podczas wakacyj zobowiązałem się dokonać, na termin wykończyć, i wrócić wcześniej do Warszawy z rękopisem gotowym do druku. Dziadek nie przynaglał mię więcej, zamknął szufladę, a ja odszedłem rozmyślając: że co się odwlecze to nie uciecze, i że jeszcze kiedyś o własnych środkach zwiedzę kawał świata, co się też później spełniło....

Wyjeżdżając bo na wakacje z Warszawy wziąłem ze sobą, prócz podręczników uniwersyteckich, duży Słownik niemiecko-polski Mrongoviusa, rękopis zaczęty przekładu „Siły i materji" Büchnera, oraz moją trzecią część oryginału tego dzieła, dla dokończenia jej tłomaczenia i przepisania manuskryptu naczysto do druku.

Koledze Mikulskiemu w Warszawie, przed jego wyjazdem na wakacje do domu do miasteczka Kałuszyna, zostawiłem mój adres dla korespondencji w razie potrzeby. Niebawem też otrzymałem odeń list dotyczący głównie naszego wspólnego przekładu „Siły i materji", datowany z Kałuszyna d. 16 lipca 1867 r.

„Kochany i szanowny kolego! Przed kilkoma dniami otrzymałem list Henryka (Elzenberga) wzywający do popierania wszelkiemi siłami „Przeglądu tygodniowego" upadającego. Zdaje mi się, że i do Was pisał w podobnym celu. Odpowiedziałem mu, że będę robić co można, jednak daleko skuteczniejszą będzie mogła być nasza interwencja w Warszawie, gdy się zbierzemy. Bo jak u nas to trudno protegować pismo z tendencjami materjalistycznemi. To co my uważamy za zalety i przymioty „Przeglądu", to głupia obywatelska publika uważa za brudne wady; jedynie więc tylko między naszymi kolegami będziemy mogli znaleźć pole do rozszerzenia koła prenumeratorów tego pisma.

„Przyjechawszy do domu zaraz zabrałem się do pracy nad Büchnerem, i znaczną już część zrobiłem. Pisałem temi dniami do Büchnera, donosząc mu, iż kończymy już nasze tłomaczenie, oraz prosząc, aby nadesłał mi 9-te wydanie swej książki. Ponieważ wyjeżdżając zbyt byliśmy zajęci, nie mogliśmy przeto udzielić sobie wzajemnie szczegółów co do tłomaczenia naszego i co do technicznej strony przepisania takowego. Chcąc temu zaradzić, celem nadania pracy naszej jednolitości, napisałem do Henryka a obecnie i Wam chcę zakomunikować niektóre uwagi niezbędne:

„1) Zważywszy, że przymiotnik materjalny ma końcówkę niepolską (material, materiell) przytem, że zwykle wyrazem „materjalny" oznaczamy przedmiot zrobiony z materji jedwabnej, wreszcie że wszystkie wyrazy mające to zakończenie co *materja* mają przymiotniki kończące na *yjny* lub *ijny* — z tych przeto powodów uważam za stosowne, aby wyrazy: stoflich, materiell, tłomaczyć przez materyjny a nie materjalny, bo mówi się: loteryjny, fantazyjny, harmonijny i t. p.

„2) Co do strony technicznej przepisywania na czysto, umówiliśmy się iżby przepisywać na arkuszach pagina fracta t. j. od połowy arkusza; przytem z uwagi, że rozdziały nasze są powyjmowane z różnych miejsc książki, przeto potrzeba koniecznie, aby każdy rozdział przepisać osobno, co także będzie dogodnem przy przesyłaniu wydawcy, bo będzie mu można pojedyńczo posyłać. Wszelkie wyrazy uwydatnione w oryginale przez rozszerzenie liter podkreślać w przepisywaniu. Tytuły dzieł cytowanych po niemiecku należy podawać po polsku; inne zaś jak angielskie, francuskie trzeba zostawić w oryginale.

„3) Zechciejcie mię poinformować, jako lepiej obeznani z fizyką, jak oddać po polsku ową przemianę sił jednej w drugą, którą język niemiecki określa przez Umsetzung der Kraefte, oraz czy wiecie jak się zowie żwierzę mikroskopowe Radethier?

„Tyle co do naszego przekładu. A teraz kilka słów o sobie: Przyjechawszy z Warszawy do Kałuszyna staram się jak najwięcej używać świeżego powietrza, aby zrównoważyć szczerbę zadaną zdrowiu wilgotnem warszawskiem mieszkaniem. Resztę czasu poświęcam na tłomaczenie Büchnera i na czytanie Ekonomij politycznych jakie posiadam.

„Kończąc me pismo nie pozostaje mi jak uścisnąć Was serdecznie i zapewnić o niezmiennej i stałej przyjaźni — Waszego

Leopolda".

Na list powyższy odpisałem wkrótce, a w parę tygodni otrzymałem list drugi, datowany takoż z Kałuszyna d. 2 sierpnia tegoż roku 1867:

„Kochany Kolego! List Wasz z 23 z. m. odebrałem; dziękuję bardzo za udzielone mi objaśnienia. Elzenberg już kilkakrotnie pisał do mnie; donosi mi on w jednym z listów, iż przy rewizji u niejakiego Adama Popławskiego w Warszawie znaleziono przekład „Siły i materji" zupełnie ukończony i gotowy do druku. Przekład ten zabrano mu i wytoczono proces karny, który obecnie jeszcze się prowadzi. Jestto dla nas wskazówką jak ostrożnie postępować musimy z naszem tłomaczeniem.

„O wydawcy naszej książki jeszcze mi nic nie doniesiono, oczekuję z niecierpliwością rezultatu. Przy przepisywaniu na czysto rękopisu nasunęło mi się jeszcze kilka uwag, które jednak mają swoją ważność, gdy zechcemy aby nasze cząstki w niczem się nie różniły, i aby rękopis był jakby z jednego odlewu. Przytem chcę aby usunąć późniejsze kreślenie i poprawianie rękopisu, oraz ułatwić korektę. Będę więc Was jeszcze trudzić następnemi zaznaczeniami:

„1) Ja trzymam się tej szkoły, która pisze tak: manja, kombinacja, materja; w dalszych przypadkach: manji, cji, rji, a w drugim liczby mnogiej: manij, kombinacij, materij; przymiotniki od tych rzeczowników: kombinacijny, materijny. Zechce więc kochany Kolega łaskawie zastosować się do tej pisowni

dla uniknięcia niejednostajności; zresztą jestto pisownia racjonalna i używana już przez wielu pisarzy i przez niektóre pisma perjodyczne.

„2) Nazwiska miejscowości piszę dużą głoską, przymiotniki zaś od nich małą. Rzeczowniki: bóg, stwórca i t. p. piszę zawsze małą głoską początkową, bo pisząc dużą oddawałoby się jakieś poszanowanie tym wyrazom, co w naszej książce nie byłoby właściwem.

„3) Już nadmieniałem Koledze, że pisać mamy na arkuszach łamiąc je na połowę, przytem trzeba, aby każdy rozdział tworzył osobny zeszyt arkuszów. Należy przeto tak obliczyć papier czysty, aby go nie było zawiele dla danego rozdziału, lecz żeby rozdział ten kończył się na ostatniej lub wreszcie na przedostatniej stronicy zeszytu. Piszemy na papierze białym zwyczajnym nieglansowanym. Tytuły piszę ugóry większemi literami przez całe półarkusze t. j. nie zważając na załamanie. Godła piszę cokolwiek drobniej, robiąc maleńki ustęp od załamania. Przy wyrazach nieutartych technicznych trzeba niekiedy zamieścić w nawiasie niemiecki wyraz, wszakże zawsze głoskami łacińskiemi. Zechce Kolega zwracać uwagę, aby znaki cudzych słów były podług książki we właściwem miejscu kładzione. Odnośniki ja tak oznaczam *).

„4) W Waszem tłomaczeniu „Celowości“ dostrzegłem iż używacie terminu „osobnik“ zamiast „indywiduum“. Nie zdaje mi się aby ten wyraz był szczęśliwym, zwłaszcza gdy przyjdzie do niego uformować przymiotnik, lub też np. w tem wyrażeniu: „siła twórcza jako indywiduum“ w żaden sposób nie da się zastosować „osobnik“. Zdaje mi się iż trzeba zatrzymać utarte „indywiduum“, lub też „jednostka“.

„5) Przeglądając wydrukowany Wasz rozdział „Celowość“ w „Przeglądzie tygodniowym“ przekonałem się, iż Wiślicki bardzo wiele powyrzucał ustępów, stąd niemożna z drukowanego przepisywać tego rozdziału lecz z rękopisu.

„6) Elzenberg przytoczył mi w liście rozrachowanie całodziennego czasu swojego, i dowiódł, iż mu pozostaje tylko trzy godziny wolne; z tego powodu te trzy godziny mogą mu wystarczyć zaledwie na przepisanie na czysto jego rozdziałów poprzednio przetłomaczonych. Tych zaś, które mu dodaliśmy przy rozjeździe w żaden sposób uskutecznić nie może. Stąd też udał się do mnie z prośbą, aby owe dwa rozdziały rozebrać między nas dwóch. Lecz nie chcąc Wam tego narzucać napisałem do kolegi Karola Frycza, aby nam dopomógł przełożeniem tych dość krótkich dwóch ostatnich rozdziałów. Dotychczas nie odebrałem odpowiedzi. Jeśliby Frycz nie mógł tego dokonać, musielibyśmy chyba obadwa z Kolegą je przełożyć. Usprawiedliwiam zaś Elzenberga w części, ponieważ chcąc zarobić sobie nieco grosza na ubranie musiał przyjąć kilka korepetycyj, które pożerają mu czas całodzienny.

„Darujcie, że Was obarczam tak długiem i obfitem w drobiazgowe szczegóły pismem, i przyjmijcie ode mnie przyjacielskie uściski i wyrazy serdecznego pozdrowienia“.

L. Mikulski.

Po odpisaniu na list powyższy, dowodzący jak gorliwie i starannie chciał wywiązać się kolega Mikulski z naszego zadania, otrzymałem odeń trzeci list z dnia 23 sierpnia 1867 r.:

„Kochany Kolego! Z prawdziwą przyjemnością odebrałem list Wasz, a miarkując, że nie spędzacie wakacyj na jednem miejscu, lecz wciąż zmieniacie takowe, postanowiłem zaraz Wam odpisać, aby list mój zastał Was jeszcze w Zagórzu.

„O wydawcy „Siły i materji“ nie mam jeszcze nic stanowczego. Karol Frycz przyrzekł robić wszelkie możliwe kroki, lecz widać po jego milczeniu, że dotąd nie ma pewnego rezultatu. Ja tymszasem robię także starania z mej strony. Pisałem temi czasy do Wilda we Lwowie, lecz dotąd nie odpowiedział mi jeszcze.

„Przetłomaczyłem już wszystko na mnie przypadające, i przepisałem nawet na czysto. Nadto nakreśliłem krótką przedmowę, którą uważałem za konieczną w miejsce opuszczających się przedmów niemieckich. Słuszną jest Wasza uwaga, iż będzie mnóstwo różnic w naszych tłomaczeniach, lecz uniknąć tego było niepodobna; i dla tego przewidując to uważałem za stosowne, abyśmy pisali pagina fracta, bo tym sposobem nie zamaże się zbytecznie rękopisu poprawianiem.

„Z Henrykiem Elzengergiem często korespondujemy; wciąż poleca mi w swych listach, abym wyręczył go w przesłaniu Wam najszczerszych wyrazów przyjaźni, co też niniejszem wypełniam.

„Przed dwoma dniami nasz Rektor Mianowski wrócił z Petersburga, skąd przywiózł pozwolenie na egzystencję dalszą naszej Szkoły głównej, którato egzystencja była w ostatnim czasie mocno zachwiana. Mamy doznać pewnych zmian, lecz jakich — jeszcze nie wiadomo. Zapewne nie zjedziemy się prędzej jak po 1 października.

„Już to bez przesady powiedzieć można, że nasza literatura ma potężnego mecenasa w osobie Kolegi. To co mi kochany Kolega piszesz o jegomości amatorze złotych spinek, mającym antypatję do wszystkiego co drukowane, to spotyka u nas nader często każdy popierający piśmiennictwo nasze. Narzekają na biedę gdy idzie o kupno książki lub zapis gazety, ale znajdą pieniądze na głupstwa i szlacheckie popisy. Kiedy to się skończy, i kiedy w głowach naszych zaświta poczucie obowiązków społecznych. Dziś i nasze usiłowania na nic się nie zdadzą, i rozbić się muszą o zapleśniałe przesądy; chyba że przyszłość dozwoli nam zbudować z obecnego młodego pokolenia o zdrowszych podstawach społeczność.

„Przegląd tygodniowy“ popieram o ile mogę, lecz widzę, że Wiślicki myśli tylko o zarobku. Obiecywał Prelekcje Huxleja od kilku miesięcy, teraz zaś zaplugawia „Przegląd“ aż dwiema powiastkami, tak iż to pisemko jest bez żadnej wartości. Jak mi pisze Elzenberg to Wiślicki codzień się inaczej decyduje: raz rzucić „Przegląd“ to znów go dalej prowadzić, i tak wciąż; a stąd owa chwiejność odbija się w niedbalstwie redagowania pisma!

„O sobie nic Wam interesującego donieść nie potrafię. Kałuszyn nudna miejscowość w której teraz żyję, nawiedzoną została cholerą, więc trzeba się strzedz, obawiać wszystkiego, i na każdym kroku się ograniczać. Stąd też i mało wychodzę, siedzę i czytam tylko. Obecnie Drapera „Historję duchowego rozwoju Europy“. Draper wychodzi z tej zasady co i Buckle, że społeczeństwem rządzi prawidłowość, wszelako Draper nie jest materjalistą. Tom III-ci przekładu Buckla „Historji cywilizacji“ wyszedł już, lecz Cenzura nie chce go wydać księgarniom warszawskim, i zapewne oglądać go nie będziemy. Dobrzeby było abyście ten tom dostali w Krakowie, a możebyście przywieźli stamtąd innych książek, o które tu trudno? Jeżeli Wam to z łatwością przyjdzie, możnoby po kilka egzemplarzy różnych takich dzieł kupić i w Warszawie między kolegami rozpowszechnić.

„Za udzielone mi terminy przyrodnicze bardzo Wam dziękuję. Jeżelibyście co mieli jeszcze do mnie napisać, obdarzcie mię z jednym listem przed naszem zjechaniem się, gdyż może nie wiecie jaką to przyjemność sprawia pismo dobrego przyjaciela w takiej odludnej jak moja okolicy, którą właśnie wielu zwie polską Syberją, tak jak Waszą krainę Szwajcarją polską.

„O Przeglądzie filozofji pozytywnej nic nie wiedziałem, gdyż od wyjazdu z Warszawy nie miałem w ręku „Tygodnika ilustrowanego“. Gdyby nie Cenzura moglibyście sobie zapisać ów „Przegląd“. Now I am learning of the english language.

„Przyjmijcie moje serdeczne pozdrowienie i uściski szczerze przyjacielskie.“

L. Mikulski.

Następnie jeszcze czwarty list od kolegi Mikulskiego, z dnia 5 września 1867 r., pisany z Kałuszyna, otrzymałem w Zagórzu podczas wakacyj letnich:

„Kochany Kolego! Darujcie, że znów naprzykrzam się Wam mem pismem, nie odebrawszy odpowiedzi na poprzednie, lecz uważam za niezbędne podzielić się z Wami wiadomością w sprawie wydawnictwa naszego przekładu.

„Dziś odebrałem wiadomość od księgarza Wilda ze Lwowa, w której zawiadamia mię on, iż z największą chęcią przyjmuje propozycję wydawnictwa, i żąda rychłego nadesłania rękopisu. Z każdego słowa widać, iż to zacny i wykształcony człowiek. Choć mu nie stawiałem żadnych warunków, sam jednak przy-

rzeka nam kilkanaście egzemplarzy mającego się wydać dzieła. Wobec tego nie pozostaje nam jak tylko skończyć przekład, skorygować go wspólnie i odesłać do Lwowa.

„Otóż bądźcie łaskawi wykończyć przeznaczoną Wam część, a gdybyście już takową mieli gotową, weźcie się do ostatniego § „Schlussbetrachtungen", gdyż ja po wygotowaniu mojej części, przybrałem także jeden rozdział przeznaczony dla Elzenberga.

„Ja przybędę do Warszawy zapewne dopiero w październiku około 5-go; zdaje się więc że około 15-go października będziem mogli wysłać nasz przekład.

„Elzenberg zasyła Wam serdeczne uściśnienia, ode mnie zaś przyjmijcie wyrazy prawdziwej przyjaźni i życzliwości".

L. Mikulski.

Wkrótce po liście powyższym, otrzymałem przed wyjazdem z Zagórza, co do przyśpieszenia wykończenia przekładu „Siły i materji" oraz przybycia do Warszawy, jeszcze list od kolegi Henryka Elzenberga, datowany dnia 13 września 1867 r.:

„Kochany Kolego! Leopold pisał już do Was, a ja też wyręczając go jeszcze raz komunikuję wiadomość, że księgarz lwowski Wild podejmuje się nakładu Büchnera. Gdy zaś wydawnictwo to jest możliwe tylko przy najszybszem wykończeniu przekładu, prosimy więc kochanego Kolegę o dołożenie jego żelaznej ręki, która nieraz przekonała nas, że umie być wytrwałą.

„Prosiłbym także Kolegę o przyjazd, jeśli można do Warszawy około 1-go października. Zaczną się bowiem tego dnia prelekcje. Proszę kochanego Kolegi o odpowiedź na list mój, i doniesienie jak Wam się powodzi, co porabiacie i jak zdrowie Wasze. U nas w Warszawie wciąż cholera. Wiadomości politycznych nie dotykam, bo je Kolega napewno wszystkie wie i zna. Przepraszam, że piszę niewyraźnie, bo bardzo naprędce. Odpowiedzi oczekuję pod znanym Wam adresem: Henryk Elzenberg w Warszawie, ul. Danielewiczowska, nr. 615.

„Dowiedziałem się od księgarza Wendego, że rozsprzedał sporo Waszego tłomaczenia Buckla. W przyszłym liście dołączę moją fotografję. Ściskam Was serdecznie i proszę przyjąć zapewnienie o mojej niezmiennej przyjaźni."

Henryk Elz.

Wobec przypilań w listach od kolegów o wczesny przyjazd do Warszawy z rękopisem przekładu „Siły i materji", zacząłem przygotowywać moje rzeczy, bieliznę czystą i skrypta do zapakowania.

Matka moja zawsze bardzo pobożna i głęboko religijna, pragnąc być z Marynią, starszą siostrą moją, w Częstochowie na wielkie święto Matki boskiej, w dniu 8 września, na nabożeństwie odpustowem, wyjechała wcześniej z Zagórza na Jasną Górę. Stamtąd odwiozła mama Marynię wprost do Warszawy, do pensjonatu panny Szumowskiej. Potem wróciła jeszcze do

Zagórza, aby zabrać z sobą do domu dzieci, prócz najmłodszej córeczki 7-letniej Miluni. Była ona zawsze bardzo wątła i słabego zdrowia, więc ją babcia zatrzymała u siebie na wsi na zimę. Wracając do Chęcin zabrała mama cały wóz prowjantów jesiennych na użytek domu: jarzyny różne, ziemniaki, kapustę, masło świeże i solone, sery, jaja, konfitury, soki, owoce zimowe i suszywo. Było to wszystko wielką pomocą ze strony kochanych dziadziów naszych dla rodziców, gdyż skromna pensja ówczesna ojca z trudnością wystarczała na życie naszej licznej rodziny.

Po powrocie mamy z Częstochowy i Warszawy, ja w końcu września spakowałem moje rzeczy, i pożegnawszy najdroższą matkę, dziadziów, wujaszka Bogdana i domowników, jak zwykle wczesnym rankiem wyruszyłem przez Pilicę i Zawiercie, koleją wiedeńską na dalsze studja uniwersyteckie.

Przybywszy do Warszawy późnym wieczorem wstąpiłem do stryjostwa Marcelich na Chmielnej ulicy na herbatę, i wkrótce pośpieszyłęm do mieszkania spocząć po trudach całodziennych. Nazajutrz po zapisaniu się w kancelarji uniwersyteckiej na III-ci kurs wydziału prawa, wynotowałem ogłoszenia profesorów o wykładach, które wkrótce rozpoczęły się, i odbywały w auli czyli głównej sali w lewym pawilonie Pałacu Kaźmirowskiego.

Profesor Władysław Holewiński zaczął niebawem w godzinach porannych czytać dalszy ciąg swego znakomitego wykładu Kodeksu cywilnego; prawo karne prof. Budziński, ekonomję polityczną i teorję statystyki prof. Zygmunt Korzybski, statystykę porównawczą prof. Załęski, prawo międzynarodowę prof. Białecki, wreszcie świetny wykład prawa państwowego profesor Okólski.

Na drugi dzień po przyjeździe wieczorem pośpieszyłem do kolegi Leopolda Mikulskiego (do jego nowego mieszkania na Krakowskiem Przedmieściu naprzeciw Saskiego placu) oddać mój rękopis przekładu „Siły i materji", przepisany naczysto do druku. Kolega Mikulski ucieszył się wielce z mojej akuratności i wczesnego przyjazdu do Warszawy. Po przejrzeniu mego rękopisu pokazał mi swoją część przekładu, a także część Henryka Elzenberga, również gotowe zupełnie.

Niebawem zaczęły się starania i pertraktacje o druk i wydanie naszego przekładu. Musiało to być prowadzone bardzo ostrożnie i przezornie, aby nie narazić naszej pracy i rękopisu na zatratę, a nas na prześladowanie i uwięzienie przez żandarmerję moskiewską. Starania te przez okazje i zaufanych znajomych wlokły się długo i szły oporem. Przekład nasz bowiem „Siły i materji" Büchnera wyszedł z druku dopiero we dwa lata później we Lwowie w roku 1869, gdy już kończyliśmy nasze studja w Szkole głównej (którą też w owym roku całkiem zamknięto, rusyfikując na Cesarski uniwersytet warszawski). Wytrwałość żelazna kolegi Leopolda Mikulskiego i naszych przyja-

ciół zagranicznych doprowadziła choć powoli usiłowania nasze do pomyślnego wyniku

Parło nas bowiem wciąż nieprzezwyciężone pragnienie walki z nieznośną tyranją na ziemi i w niebie, ciemiężycieli naszej drogiej Ojczyzny, zaborców i gnębicieli Polski — imperatorów i królów z „bożej łaski"! Dokonywała się w nas jakaś żywiołowa rwąca choć cicha ewolucja duchowa. Pionierzy wielkich idei wolności muszą iść zawsze naprzód na przebój, z wiarą niezłomną w zwycięstwo!

U kolegi Mikulskiego, prócz Zygmunta Glogera studenta prawa, który z nim mieszkał na Krakowskiem Przedmieściu, poznałem też podówczas dzielnego pracownika „Przeglądu tygodniowego" kolegę Juljana Kaliszewskiego, głośnego pod pseudonimem Klina ze swych ciętych satyr, wydawanych od roku 1868 p. t. „Szkice".

Po załatwieniu z kolegą Mikulskim najpilniejszych przygotowań i korespondencji co do druku Büchnera „Siły i materji" pośpieszyłem, jak zwykle w pierwszą nadchodzącą niedzielę po południu, odwiedzić moją siostrzyczkę Marynię w pensjonacie. Zaniosłem jej trochę owoców jesiennych i winogron, a przytem listy od naszych drogich rodziców świeżo z poczty otrzymane w odpowiedzi na nasz wysłany poprzednio do domu. Najdroższa matka pisywała do nas obszernie, ślicznem pismem drobniutkiem a wyraźnem, troszcząc się serdecznie o najmniejsze nasze potrzeby, udzielając rad dobrych, zwłaszcza Maryni, co do nauki, zdrowia, ubrania i t. p. W ostatnim liście (który mam przed sobą w tej chwili gdy to kreślę, zachowany w papierach rodzinnych w mojej bibljotece) pisała mama do siostrzyczki między innemi:

—„Żal mi Cię, że masz dużo pracy, ale to już taka kolej rzeczy na świecie, że w każdym wieku trzeba gorliwie pracować, cierpliwie znosić trudy i przezwyciężać się."

O ojcu kochanym pisała mama, że bardzo starannie odświeżył mieszkanie na zimę, i zabiega jak może o wszystko, choć utrzymanie domu kosztuje dużo.

Siostrzyczka musiała się kiedyś żalić przed mamą, że nie odbywam praktyk kościelnych i jestem wolnomyślny, bo w tymże liście mama pisze do niej:

—„Mimo to bądź dla niego dobrą i kochającą, bo wierzaj mi On jest dobry w gruncie, Bóg da że się odmieni za łaską boską, a miłość w Rodzinie jest największym skarbem i pociechą na Ziemi. Ściskam Cię droga Córko z całej mocy mego dla Ciebie przywiązania, tuląc do serca macierzyńskiego, błogosławię Cię z całej duszy! Bóg z Tobą!"

Mama.

Słowa tego listu świadczą, jak ta najlepsza, najdroższa, święta nasza Matka kochała nas gorąco, głęboko, jak czuwała

od dziecięctwa samego nad dobrem naszem — to też ubóstwiałem Ją, a wspomnienie Jej jest dla mnie zawsze największą świętością.

Siostra moja Marynia, wstępując do szkoły klasztornej Norbertanek w Imbramowicach pod Miechowem, zapisana już była w r. 1863 do „Arcybractwa czci niepokalanego Serca najświętszej Marji Panny dla uproszenia nawrócenia grzesznych“ (jak o tem już obszerniej pisałem poprzednio). Potem, jako uczennica klasy V-tej, kończąc w Warszawie pensjonat panny Szumowskiej prowadzony w duchu klerykalnym, została zapisana dnia 4 października 1867 roku do tak zwanej „Straży honorowej najświętszego Serca Jezusowego“. Według ustawy tego bractwa religijnego opiekunami jego są: Najświętsza Marja Panna, św. Józef, św. Franciszek z Asyżu, św. Franciszek Salezy i błogosławiona Małgorzata Marja. Forma wpisania się do „Straży“ pomienionej według karty imiennej członka jest następująca:

„Najsłodszy, najbardziej miłujący i najgodniejszy umiłowania Jezu, ja *Marja,* dla uwielbienia ile tylko zdołam Twego boskiego serca, dla okazania mu mojej miłości i pocieszenia go za zapomnienie i niewdzięczność ludzką, zaciągam się dziś dobrowolnie i z całego serca do Straży honorowej Twego najświętszego Serca. Przyrzekam ci, że za pomocą łaski Twojej będę wierną od godziny 12-tej do godziny 1-ej, którą wybieram sobie na trzymanie straży Poświęcenia, Wynagrodzenia i Miłości. Amen“.

Ponowienie tego przyrzeczenia odmawia się przy końcu każdej godziny straży, podczas której odmawiane są odpowiednie specjalne modlitwy. Nauczyciel religji w pensjonacie panny Szumowskiej (gdzie była też kaplica domowa) ksiądz Sotkiewicz, który później został biskupem sandomierskim, wywierał wielki wpływ na cały nastrój religijny tego zakładu naukowego, prowadzonego zresztą bardzo starannie. Siostra moja niewątpliwie pod tym wpływem wstąpiła później do nowozałożonego zakonu Nazaretanek, mającego na celu głównie zakładanie i prowadzenie szkół dla dzieci i dziewcząt. Jedna z nauczycielek z pensjonatu Szumowskiej, panna Chwalibożanka wstąpiła też wkrótce do klasztoru Wizytek w Warszawie. Widocznie już zawczasu starano się tam uczennice zdolniejsze nakłaniać do działalności w dziedzinie zakonnej. W sferach zachowawczych naszego społeczeństwa panował zdawna zwyczaj oddawania dziewcząt do szkół klasztornych, mianowicie w Galicji i w Krakowskiem. Druga moja młodsza siostrzyczka Hania przygotowywała się w domu też do szkoły Wizytek w Krakowie.

Po powrocie z wakacyj do Warszawy, wieczorami bywałem zwykle u siebie, wertując podręczniki uniwersyteckie, nowe dzieła pożyczone od kolegów i czasopisma specjalne abonowane wspólnie. Zachodziłem też niekiedy na herbatę do stryjostwa Marce-

lich na parter. Korzystając z wolniejszego czasu odwiedziłem raz moje sąsiadki z drugiego piętra, panią S* i jej córkę Klotyldę. Teraz po utracie swego kapitału (wskutek upadłości bankiera Jakóbowskiego) nie wyjeżdżały z Warszawy na lato, odnajmując stale część swego mieszkania umeblowanego z obsługą lokatorom.

Po przywitaniu panna Klotylda zawołała zaraz do mnie:

— Mam dla pana ciekawe nowiny! Nasze znajome panny L*, córki profesora francuza, zrobiły świetną karjerę tego roku na letniem mieszkaniu....

— Doprawdy! w jakiż sposób?

— Jak pan wie, ich siostra najstarsza miała znajomości z wyższymi wojskowymi. Tego roku wyjechała z siostrami swemi na lato w okolice Marymontu, wpobliżu obozów wojskowych. Przyjmowano gości oficerów. Koniec końcem Juljeta wyszła za mąż za jakiegoś pułkownika kozackiego i wyjechała z nim nad Don!

-- A Justynka? spytałem....

— Justyną zajął się bardzo kapitan huzarów gwardji, książe O*, zabrał ją z sobą do Petersburga, gdzie wstąpiła do baletu teatrów cesarskich! No i cóż pan na to?

— Ja nic! stało się co się stać miało. Fatalność i koniec.

Zasiedliśmy do herbaty wieczornej. Wkrótce wyszła ze swego gabinetu pani Emilja Z*, lokatorka pani S*, owa amazonka z trzeciej maskarady, i rozmowa przeszła na inne tory. Przy pożegnaniu zostałem zaproszony na jutro na wspólną przechadzkę do Parku belwederskiego.

Nazajutrz, gdy o zmroku siedziałem sam w moim pokoju, usłyszałem pukanie do drzwi. Wyszedłem otworzyć, i niespodzianie ujrzałem pannę Klodyldę z panią Milą (tak nazywaliśmy panią Emilję Z*) ubrane na spacer. Poprosiłem, aby chwilę spoczęły, zanim włożę palto. Pani Mila z ciekawością rozglądała się w prymitywnem urządzeniu studenckiego mieszkania, w jakiem znalazła się po raz pierwszy. W swym zawsze czarnym kostiumie i fioletowym woalu gazowym, była zawsze śliczna i czarująca. Klodylda, żywa jak iskra, wybiegła po parasolkę do siebie, zostawiając nas samych. Niezadługo powróciła, i pierwszą spotkaną dorożką pojechaliśmy w Aleje belwederskie, a potem do parku, gdzie zostaliśmy czas dłuższy, rozkoszując się ciepłym wieczorem jesiennym.

Po wakacjach letnich przybyła do Warszawy ze wsi Kąty w Gostyńskiem, od syna swego Zdzisława, stryjenka Ignacowa ze swemi córkami uczennicami, które zaczęły chodzić na lekcje. Podobnie jak dawniej zbierało się tam przy ulicy Wareckiej, zawsze co niedziela, liczniejsze towarzystwo. Bywali tam jak zwykle państwo Sygetyńscy z synami Antonim i Władysławem, koledzy moi studenci prawnik Karol i medyk Teodor Duninowie i w. in.

Na ferje zimowe i święta Bożego narodzenia zostaliśmy z siostrą w Warszawie, a wilję jak zwykle spędziliśmy u stryjostwa Marcelich w kółku rodzinnem. W listach wysłanych do rodziców i odebranych od nich, serdecznych i obszernych, otrzymaliśmy opłatki z życzeniami dla nas i dla krewnych najbliższych.

Wkrótce po nowym roku 1868, w jednym z następnych listów od rodziców, otrzymaliśmy wiadomość niespodziewaną, że z powodu bardzo złego stanu zdrowia najmłodszej siostrzyczki Miluni, która została na zimę u babci w Charsznicy, mama pośpieszyła tam, by ratować swą ukochaną dziecinę. Niestety, wszelka pomoc i najtroskliwsze zabiegi nie pomogły. Dnia 1-go lutego śmierć zabrała naszą siostrzyczkę, śliczną 7-letnią dziecinę (urodzoną 9 sierpnia 1861 r.). Jednocześnie z nią zmarł w Charsznicy najmłodszy synek wujostwa Jordanów Witoldek na szkarlatynę. Oba maleństwa pochowane zostały w grobach rodzinnych w sąsiednich Siedliskach przy kościołku św. Krzyża pod Miechowem.

Podczas długich wieczorów zimowych wziąłem się do przekładu z francuskiego znakomitej rozprawy Chevalier'a p. t. „Wpływ swobód ekonomicznych na postęp społeczeństwa". Po ocenzurowaniu rękopisu wydałem go własnym nakładem, podobnie jak poprzednio rozprawę Buckla „Wpływ kobiet na postęp wiedzy". Sprzedaż tych broszur szła dobrze. Stanowiły one zawiązek mego wydawnictwa późniejszego.

Wykłady uniwersyteckie na III-cim kursie prawa zajmowały niewiele czasu po kilka godzin dziennie, przeważnie przed południem. Pragnąc obznajmić się dokładniej z organizacją polskiego księgarstwa i wydawnictwa, postarałem się o przyjęcie mię na praktykę do jednej z księgarń warszawskich. Kolega uniwersytecki, filolog B*, znając się bliżej z p. Ferdynandem Hoesickiem, właścicielem księgarni przy ulicy Senatorskiej, udał się doń ze mną i polecił gorąco. P. Hoesick zgodził się chętnie na moją propozycję. Zostałem przyjęty na praktykę bezpłatną w początku stycznia, z warunkiem że będę mógł chodzić swobodnie na moje prelekcje i na godzinę do pobliskiej redakcji „Gazety handlowej" na ulicę Danielewiczowską.

Księgarnia Hoesicka mieściła się przy jednej z największych arteryj ruchu miejskiego, w domu narożnym Piotrowskiego przy ulicy Senatorskiej i Miodowej, naprzeciwko Pałacu prymasowskiego. Tędy od rana do wieczora przewalał się główny prąd jezdny i pieszy między Pragą, mostem żelaznym Wisły i Placem zamkowym z jednej strony — a placami Teatralnym, Bankowym i ulicami Elektoralną, Lesznem, i przedmieściem Wolą z drugiej strony. Była to wielka arterja poprzeczna, krzyżująca się z główną linją podłużną Warszawy, biegnącą od Alei Belwederskich i Ujazdowskich, Nowego Świata, Krakowskiego

przedmieścia, Starego Miasta, ulicy Miodowej, Placu Krasińskich i Nalewek do Powązek i Bielan.

Cały front domu obok księgarni Hoesicka zajęty był przez mnogi szereg pięknych sklepów i magazynów. Księgarnia nasza zajmowała jeden pokój frontowy z dużem oknem wystawowem z szybą lustrzaną, oraz drugi mniejszy, przy którym w podwórzu znajdował się zapasowy skład książek w oficynie murowanej.

Praca codzienna w księgarni trwała od godziny 8 rano do 8-ej wieczór z przerwą dwóch godzin na obiad. W początkach mego zajęcia w księgarni poruczono mi ekspedycję paczek pocztowych dla osób prywatnych na prowincję. Zacząłem od sprawdzania książek i czasopism pakowanych z dołączanemi do nich rachunkami, układania ich stosownego i obwijania w papier gruby lub makulaturę, tak aby się nie uszkodziły, obszywania paczek w grube płótno, sznurowania, lakowania według przepisów urzędowych, a wreszcie odsyłania na Pocztę przy ulicy Trębackiej przez służącego księgarni. Po przyniesieniu kwitów i odnotowaniu w osobnym regestrze, chowało się je starannie w odpowiednim porządku i miejscu razem z dawniejszemi.

Podczas pracy wieczornej przed zamknięciem księgarni, dnia 30 stycznia owego roku 1868, błysk nagły silny na niebie zadziwił wszystkich obecnych swą niezwykłością. Był on, jak się nazajutrz okazało, spowodowany przez meteoryt, który spadł w okolicy miasta powiatowego Pułtuska niedaleko Warszawy. Waga ogólna brył owego chondrytu jakie zebrano dochodziła do 600 kilogramów, nie licząc tych jakie utonęły w rzece Narwi i na łąkach wsi Sokołowa i Sielca zalanych wodą.

W następnym miesiącu lutym poruczono mi porządkowanie faktur czyli rachunków księgarzy krajowych i zagranicznych, układanie według alfabetu, i wstawianie do kratek na półkach osobnych oznaczonych literami, aby gotowe były do obrachunków rocznych na wiosnę z głównem ogniskiem ówczesnego handlu zagranicznego Lipskiem, a po części także z Krakowem, Lwowem i Poznaniem.

W księgarni naszej pracował przeważnie przy kasie i księdze głównej sam właściciel p. Ferdynand Hoesick. Przychodził codzień rano punktualnie o godzinie 8-ej, i wymagał takiejże akuratności od współpracowników. Głównym rachmistrzem i buchalterem był p. Henryk Trenkler, który prowadził też dział zagraniczny księgarni t. j. regestry zamówień czasopism, książek, nut, map, rycin i t. p., od wydawców zagranicznych; załatwiał odbiór z Komitetu cenzury i całą odnośną korespondencję. Krom tego był jeszcze młody pomocnik do sprzedaży sklepowej książek i nut, wydawania abonentom czasopism, porządkowania książek na półkach i t. p., wreszcie posłaniec księgarni czyli służący.

Pan Ferdynand Hoesick był podówczas człowiekiem w średnim wieku lat 33. Poważny, energiczny, uprzejmy i dobry

zwierzchnik; szatyn z włosem nieco kędzierzawym, z wąsami i brodą niedużą. Urodził się w Warszawie, 25 listopada 1835 r., z ojca Józefa i matki Elżbiety z Goerków. Po ukończeniu 4-ch klas w warszawskiem gimnazjum realnem, w 15-tym roku życia wstąpił jako uczeń do księgarni L. Glücksberga, w październiku 1848 r. został współpracownikiem księgarni G. Sennewalda, gdzie pracował przez lat siedm. W r. 1855 udał się za granicę do Paryża, gdzie przez rok przeszło pracował w księgarni Hektora Bossange'a. Odwołany stamtąd przez G. Sennewalda, który mu ofiarował u siebie miejsce, wrócił do Warszawy, i pracował w jego księgarni jeszcze lat trzy. Potem do spółki z wydawcą Kaufmanem założył na Krakowskiem Przedmieściu własną księgarnię, którą potem pod swoją firmą przeniósł na ulicę Senatorską.

Ferdynand Hoesick pochodzenia był niemieckiego, ewangelik, podobnie jak wielu innych znaczniejszych księgarzy warszawskich, np.: Gebethner i Wolff, Wende, Sennewald, Friedlein i in. Księgarnia Friedleina w Warszawie, mieszcząca się w pobliżu księgarni Hoesicka w sąsiednim domu przy ulicy Senatorskiej naprzeciw Pałacu Prymasowskiego, została jak to już nadmieniłem zwinięta w owym czasie. Na wyprzedaży jej nabyłem wyborne dzieło Bancrofta „History of United Staates of North America", w ładnej oprawie za bardzo niską cenę, i parę innych książek.

Do księgarni p. Hoesicka przychodził czasem jego ojciec, staruszek szczupły, średniego wzrostu, szpakowaty, który nie umiał wcale mówić po polsku. Z synem i współpracownikami rozmawiał tylko po niemiecku, zwany był familjarnie „Vater Hoesick". Częściej przybiegał do ojca synek imieniem też Ferdynand, miły, grzeczny chłopczyk blondynek Fredzio, zwykle po południu, przynosił ojcu pakiecik z podwieczorkiem, a wiosną i w lecie jagody lub owoce przysyłane przez mamę dla tatusia. Pani Hoesickowa była córką Grancowa, bogatego przedsiębiorcy budowlanego znanego w Warszawie. Jasna blondynka wysmukła, rzadko wstępowała do księgarni. Synek państwa Hoesicków wyrósł później na dzielnego i wykształconego młodzieńca, odziedziczył po ojcu księgarnię, i stał się znakomitym wydawcą krytykiem i literatem polskim.

Tak więc w trzecim pokoleniu Hezikowie spolonizowali się zupełnie. Dziadek „Vater Hoesick" nie umiał wcale po polsku. Syn założyciel księgarni, prowadzący początkowo kolportaż czasopism niemieckich, z czasem został poważnym wydawcą dzieł polskich, przeważnie dla młodzieży i dzieci, oraz muzykalij polskich. Wreszcie wnuk jest utalentowanym pisarzem i publicystą polskim.

Od 1-go kwietnia czyli od kwartału II-go powierzono mi w księgarni ekspedycję czasopism krajowych i zagranicznych dla abonentów miejskich i prowincjonalnych. Czynność to była

skomplikowana i duża. Przyjmowanie i obliczanie czasopism odbieranych od wydawców miejscowych oraz zagranicznych z transportu tygodniowego, który załatwiał w Komitecie cenzury pomocnik szefa pan Trenkler. Sprowadzanie i kolportaż owych czasopism zagranicznych był specjalnością księgarni Hezika. Jego klientela, jako ewangelika i spokrewnionego przez żonę z Gancowami i innemi rodzinami pochodzenia niemieckiego, sprowadzała mnóstwo czasopism i książek niemieckich, przeważnie ilustrowanych i technicznych, znacznie mniej francuskich i angielskich. Rozsyłka wszystkich czasopism zapisywała się drobiazgowo na dużych arkuszach grubego papieru, rubrykowanych odpowiednio w kratki drukowane, gdzie notowało się każdy numer bieżący czasopism, a na nich ołówkiem nazwiska i adresy abonentów, według wykazu na owych arkuszach złożonych w tekach zwanych Kontynuacją prenumeraty. Posłaniec księgarni roznosił codzień świeże czasopisma abonentom do domu; niektórzy tylko odbierali je sami w księgarni. Na prowincję wysyłało się czasopisma pod opaską za opłatą markami pocztowemi.

Jakiś agent zagraniczny, niemiec, przyniósł do księgarni stempel mechaniczny z tamponem do tuszu, odbijający automatycznie napis zamówiony przez właściciela:

„Zu beziehen durch Ferdinand Hoesick in Warschau".

Tą pieczęcią stemplowało się wszystkie numery czasopism zagranicznych i książki sprowadzane przez księgarnię. Jej sortyment polski nie był podówczas zbyt zasobny, i obejmował tylko rzeczy najpotrzebniejsze i najbardziej pokupne: książki szkolne, nabożne, kalendarze i t. p. Natomiast wydawcy niemieccy, mianowicie z Lipska, Berlina, Stutgardu i innych ognisk księgarstwa germańskiego, zasypywali nas swojemi nowościami, wysyłanemi systematycznie z dużym rabatem, na rachunek roczny, z możnością zwrotu egzemplarzy niesprzedanych — słowem, na warunkach jak najkorzystniejszych. Co tydzień z Lipska, od głównego komisjonera naszej księgarni, przychodziła wielka skrzynia, koleją żelazną, przez komorę celną na Chmielnej ulicy do składu Komitetu cenzury na ulicę Miodową, obejmująca książki i czasopisma niemieckie przeważnie. Pan Trenkler z ich spisem w dwóch egzemplarzach na druku urzędowym rosyjskim, chodził odbierać niezwłocznie dozwolone i znane cenzurze. Nowości nieznane zatrzymywano do rozpatrzenia, poczem większość oddawano księgarni. Zabronione całkowicie pozostawały w biurze Cenzury w osobnych szafkach, od których klucze każdej księgarni były w ręku sekretarza. Dopiero przy obrachunku noworocznym odsyłano owe książki zakazane za granicę pod kontrolą urzędową, lub niekiedy konfiskowano. Taką samą ekspedycję rewizyjną dokonywać musiały wszystkie księgarnie. Tylko bardzo sekretnie, księgarze niektórzy bliżej znani cenzorom, otrzymywali niekiedy dla zaufanych klientów książki i czasopisma zakazane, naturalnie za grubą zapłatą. Specjalnie sprowa-

dzaniem książek zabronionych i odbiorem ich z Cenzury zajmowała się księgarnia Okońskiego przy ulicy Miodowej długi czas istniejąca. Tam zaufani klienci, za pewną dopłatą, otrzymywali pod sekretem książki zabronione.

Inspektor księgarń i drukarń podpatrywał od czasu do czasu książki w ten sposób odbierane, i wymuszał dla siebie osobną łapówkę; albo też, dla okazania swej czujności i gorliwości, spisywał niekiedy protokół grożący karą sądową, zwłaszcza wtedy, gdy dostał zbyt mało.

W domu rodziców moich tymczasem zaszły nowe zmiany. Ojciec mój jako sędzia prezydujący w Sądzie poprawczym w Chęcinach wprawdzie awansował, ale po kilkoletnim pobycie (od 1 marca 1864 roku) wcale nie był zadowolony ze stosunków i całego otoczenia w lichej mieścinie żydowskiej. Także mieszkanie na piętrze okazało się niedogodne, bo zimne i wilgotne, w starej kamienicy, której parter zajmowany przez komornika chęcińskiego bardzo słabo był ogrzewany. Wszystko to wpływało źle na zdrowie dziatwy, tak że mama po zgonie najmłodszej córeczki Miluni w Charsznicy, pozostała na dłuższy czas u dziadków na wsi, bo i siostrzyczka Hania i braciszek Miecio też niedomagali na zdrowiu, a w zimie nie mogli wracać do domu. Starania ojca odniosły skutek, i wkrótce został znów do Kielc przeniesiony, reskryptem następującym:

„Komisja rządowa Sprawiedliwości — Pana Eustachego Czarnowskiego, sędziego prezydującego w Sądzie poprawczym w Chęcinach, deleguje czasowo do zasiadania w komplecie Sądu kryminalnego w Kielcach. — Warszawa, dnia 1 kwietnia 1868 r. — Dyrektor główny prezydujący (podp.) Wosiński, Dyrektor kancelarji (podp.) Wł. Holewiński. № 3610“. Pieczęć z orłem dwugłowym i napisem w otoku: Królestwo Polskie, Komisja rządowa sprawiedliwości.

O reskrypcie tym otrzymał ojciec osobne zawiadomienie następujące:

„Komisja rządowa sprawiedliwości: Wydział administracji i kontroli:

„Do p. Eustachego Czarnowskiego sędziego prezydującego w Sądzie poprawczym w Chęcinach:

„Zawiadamia p. Czarnowskiego, iż decyzją z d. 1 kwietnia r. b. delegowany został do czasowego zasiadania w komplecie Sądu kryminalnego w Kielcach. Reskrypt w tym względzie wydany otrzyma p. Czarnowski za pośrednictwem prezesa Sądu kryminalnego w Kielcach, zaś nowopowierzone sobie obowiązki objąć winien natychmiast po otrzymaniu niniejszego zawiadomienia. — Członek Komisji sprawiedliwości zarządzający Wydziałem (podp.) A. Sadkowski, Naczelnik Wydziału (podp.) Zaborowski“.

Prezes Sądu kryminalnego kieleckiego, wkrótce potem, pismem dodatkowem datowanem 25 kwietnia 1868 r. za № 335, wezwał ojca, aby nowe urzędowanie w Kielcach objął. — Zaraz też, po oddaniu akt swojemu następcy w Chęcinach, ojciec udał się na miejsce swego nowego przeznaczenia Przewiezienie rzeczy uskutecznił potem częściowo do wynajętego mieszkania w Kielcach, co przy małej odległości 2 mil dobrą szosą, poszło z łatwością.

Z powodu tego przeniesienia ojca Swięta wielkanocne i ferje wiosenne przepędziliśmy z siostrzyczką Marynią w Warszawie u stryjostwa Marcelich. Mieliśmy i to na względzie, że siostra w tym roku szkolnym kończyła klasę V-tą najwyższą w pensjonacie panny Szumowskiej, i pragnęła cały czas wolny poświęcić przygotowaniom do egzaminu ostatecznego, aby go zdać jak najlepiej, uzyskać patent, i złożyć go do rąk rodziców po przyjeździe na wakacje.

I ja też pracy miałem dużo. Dnie powszednie całe zajęte prelekcjami, robotą w księgarni i w redakcji „Gazety handlowej". Tylko w niedziele i święta miałem więcej swobody. W niedzielę, zwykle przed południem, zachodziłem na wystawę Towarzystwa sztuk pięknych oglądać nowe dzieła pędzla i dłuta naszych artystów. Z nastaniem pory ciepłej w lecie spieszyłem przez pobliskie Aleje Jerozolimskie nad Wisłę do kąpieli, a potem na obiad świąteczny do stryjostwa Marcelich (w dnie powszednie stołowałem się w restauracji) Po południu odwiedzałem zawsze siostrzyczkę Marynię w pensjonacie, zanosząc jej owoce i listy od rodziców, gdy nadeszły. Potem przy pogodzie szliśmy z kolegami do Parku łazienkowskiego, a czasem na koncert symfoniczny znakomitej orkiestry Bilsego w Dolinie szwajcarskiej. Wieczorem odwiedzałem stryjenkę Ignacową lub innych znajomych, u których bywały liczniejsze zebrania towarzyskie, a niekiedy, np. w razie imienin zabawy taneczne. W dni powszednie wieczorem szliśmy do teatru, na operę lub dramat, gdy grano co znakomitego, zwykle z kolegami Holewińskiemi lub z kim się zdarzyło.

Ale najczęściej w wieczory powszednie zaglądałem do moich sąsiadek na II-gie piętro w domu stryja, gdzie mieszkała jeszcze w odnajmowanym gabinecie pani Emilja Z*, młoda piękna litwinka, zwana przez nas zdrobniale panią Milą. Z nią zwykle, po herbacie, szliśmy w Aleje Belwederskie lub dalej do Parku królewskiego, w zaciszne ustronia, pełne spokoju czarownego tak pożądanego po rozgwarze miejskim. Z nadejściem upałów letnich, pani Mila opuściła swój mały duszny gabinet odnajmowany od pani S* w domu mego stryja, i przeniosła się do większego mieszkania przy ulicy Mazowieckiej w pałacyku Bromirskich za żelaznemi sztachetami od frontu podówczas (później zbudowano tam wielką kamienicę, gdzie na I piętrze mieściło

się wydawnictwo dziennika „Nowiny“ za redakcji Bolesława Prusa). Pani Mila wynajęła w lewym pawilonie pałacyku ładny pokój z kuchnią i przedpokojem z osobnem wejściem. Pianino i egzotyczne rośliny wazonowe przystroiły tę zaciszną siedzibę. Przynosiłem tam nowe książki, kwiaty świeże i wyborowe nuty muzyczne, by posłuchać czasem arcydzieł Moniuszki, Chopina lub Beethovena.

Przy rozlicznych zajęciach moich i pracy nieustannej czas szybko upływał. Nadeszły niebawem ferje letnie uniwersyteckie. Poprosiwszy p. Hezika o urlop na wakacje, dla wypoczynku po pracy bezpłatnej w księgarni, wybrałem dla dziadka mego parę świeżych książek i nowe wydanie poezyj Berangera w ładnej oprawie paryskiej, a dla siebie duży podręcznik księgarski p. t. „Kontorwissenschaft des Buchhandels“. Było to dzieło znakomicie opracowane, obejmujące obok treściwej historji księgarstwa także całą technikę oraz rachunkowość wydawnictwa i druku książek, wskazówki praktyczne, wzory korekty drukarskiej i t. p., które później bardzo mi się przydały. Gdy przedstawiłem rachunek wypisany na książki wybrane, chcąc za nie zapłacić z rabatem, p. Hezik zamiast pokwitowania napisał na mojej nocie: „Robię z nich Panu prezent“. Podziękowałem uprzejmie i pożegnałem mego szefa, który mi życzył przyjemnych wakacyj na wsi i powrotu szczęśliwego.

O zastępstwo moje w redakcji „Gazety handlowej“ porozumiałem się z kolegą Elzenbergiem, który nie wyjeżdżał na lato z Warszawy. Wreszcie wziąwszy urlop z kancelarji uniwersyteckiej, pożegnałem kolegów, krewnych i stryjostwo Marcelich, u których zostawiłem klucz od mego pustego mieszkania dla opieki.

Siostrzyczka Marynia po ukończeniu pensjonatu z patentem, stęskniona do domu, miała rzeczy spakowane i pragnęła co prędzej wyjechać. Niezwłocznie więc 1 lipca wyruszyliśmy w drogę, jak zwykle koleją wiedeńską pociągiem porannym do stacji Zawiercie, gdzie czekał na nas powóz z Zagórza, zamówiony zawczasu listownie. Na długim dniu zajechaliśmy przed zmrokiem jeszcze przed śliczny dwór w Zagórzu, otoczony wonnemi kwietnikami, tonący w zieleni drzew i krzewów.

Radość z naszego przybycia i patentu szkolnego Maryni była wielka. Przywitaniom i rozpytywaniom nie było końca. Zastaliśmy wszystkich naszych kochanych: dziadziów i mamę z dziećmi młodszemi przy kolacji pod dużą werandą płócienną, gdzie też zaraz i dla nas miejsce zrobiono, fetując pysznemi poziomkami, mleczywem, herbatą, miodem i czereśniami Po trudach podróży całodziennej udaliśmy się wcześniej na spoczynek z młodszem rodzeństwem i z mamą, która jak zwykle zajmowała mieszkanie letnie obok dworu w małej willi zwanej „Dziadzi domek“, na parterze. Ja tamże dostałem, na pięterku nad gabi-

netem mamy, pokoik z balkonem słoneczny, a ocieniony rozłożystym platanem i jesionami smukłemi. Pokoik jasny, świeżo wybielony, cichy, jakby stworzony dla wypoczynku po pracy całorocznej.

Nazajutrz po południu poszliśmy z mamą i rodzeństwem do pobliskich Siedlisk, ścieżkami polnemi dla skrócenia sobie drogi, pod kościołek św. Krzyża, na grób siostrzyczki Miluni, pochowanej tam w lutym r. b. 1868, obok braciszka Jarosławka, siostrzyczki Zosi (zmarłych też w dzieciństwie) i prababki naszej Anny Godeffroy, matki babci Piątkowskiej. Cały ten grób rodzinny, na którym złożyliśmy wieńce świeżych kwiatów, ogrodzony sztachetami żelaznemi z krzyżem w pośrodku, ocieniały bujne krzewy, zasadzone na wiosnę przez mamę. Stuletnie lipy, otaczające kościołek wiejski szumiały smutno rozłożystemi konarami, jakby modląc się cicho nad mogiłami naszych drogich zmarłych....

Zajęcia wiejskie i gospodarskie, do których się wrótce wziąłem, by pomagać naszemu dziadzi emerytowi, były dla mnie miłą rozrywką. Książki przywiezione z Warszawy od p. Hezika dla dziadzi zajęły go bardzo i zaczął je zaraz przeglądać. Ja też w chwilach wolnych studjowałem mój podręcznik „Kontorwissenschaft des Buchhandels". W niedziele i święta robiliśmy przejażdzki z mamą, wujaszkiem Bogdanem i wszystkiemi dziećmi do pobliskiego lasu na jagody i grzyby, a czasem z babcią na inne folwarki do sadów po wczesne owoce.

Mama nie mogła się dość nacieszyć z ukończenia pensjonatu przez Marynię z doskonałym patentem, z stopniami celującemi z najważniejszych przedmiotów, wydrukowanym na dużym arkuszu pięknego papieru, z nadpisem i tekstem następującym:

Świadectwo

„Panna Marja Czarnowska, córka Eustachego i Emilji z Piątkowskich, urodzona w Stopnicy, powiecie stopnickim, gubernji kieleckiej, mając lat 16, religji rzymsko-katolickiej, wpisana w liczbę uczennic Pensji żeńskiej wyższej 5-cio-klasowej, przezemnie utrzymywanej, w dniu 13 sierpnia 1865 r., pozostawała na niej do dnia dzisiejszego. W ciągu tego czasu sprawowanie jej było wzorowe, w naukach zaś wykładanych uczyniła postępy — celujące: w nauce religji i moralności, języku i literaturze polskiej, języku i literaturze rosyjskiej, historji powszechnej, historji Polski, geografji powszechnej, naukach przyrodniczych; dostateczne: w języku i literaturze francuskiej, języku i literaturze niemieckiej, arytmetyce, rysunkach, kaligrafji i robotach ręcznych. W ciągu pobytu swego na Pensji tutejszej otrzymała w klasie III-ciej list pochwalny, w klasie IV-tej nagrodę, w klasie V-tej list pochwalny. W Warszawie, dnia 23 czerwca 1868 r. — Przełożona Pensji (podpis) M. Szumowska".

Odpocząwszy na wsi po pracy szkolnej i trudach podróży Marynia zaczęła pomagać mamie w domowei nauce siostrzyczki młodszej Hani. już 10-letniej, która miała być oddana do szkoły w Krakowie. Ja zaś, w chwilach wolnych od moich zajęć, zacząłem uczyć początków pisania, czytania i rachunków młodszego braciszka 9-letniego Miecia. Obok tego pomagałem dziadkowi w gospodarstwie, głównie w stodołach i śpichrzu przy kontroli rachunkowości, zwózki zboża z pola podczas żniw, wydawania paszy i t. p.

W gospodarstwie folwarków dzierżawionych przez dziadka od rządu oddawna, nie zaszło nic nowego faktycznie, lecz formalnie nastapiły znaczne zmiany. Wsie bowiem rzadowe poklasztorne w okolicy Miechowa przeszły w tym czasie na majorat generała Dymitra Milutyna. Donatarjusz ten przez plenipotencię wydaną w Petersburgu dnia 2 marca 1867 r., a przez Izbę cywilno-sądową tameczną poświadczoną i przez Komisję rządową Sprawiedliwości w Warszawie zalegalizowaną, ustanowił pełnomocnikiem swoim w Królestwie Polskiem senatora Jakóba Sołowjewa, zamieszkałego w Warszawie. Ten zaś tamże, w dn. 11 stycznia 1868 r, przed Stanisławem Zawadzkim rejentem kancelarji ziemiańskiej gubernji warszawskiej, aktem notarjalnym, czyniąc w imieniu i na rzecz generał-adjutanta Dymitra syna Aleksego Milutyna donatariusza, udzielił upoważnienia do działania w jego imieniu komisarzowi włościańskiemu Arkadjuszowi Stallowi, zamieszkałemu w Miechowie: aby tenże komisarz włościański Stall, na skutek Ukazu z daty 27 marca 1867 r., mocą którego generałowi Milutynowi nadane zostały na prawach majoratu dobra ziemskie w Królestwie Polskiem, z dochodem rocznym rubli 4.500 (cztery tysiące pięćset) wybrał dla gen. Milutyna te dobra rządowe i lasy, jakie za najodpowiedniejsze uważać będzie, i aby objął w posiadanie folwarki i lasy, które gen. Milutynowi będą wyznaczone na utworzenie majoratu. Aby zgadzał sie na obrachowanie dochodów rocznych dóbr lub obrachunkowi temu się sprzeciwiał, aby sporządzał i podpisywał protokóły co do wydania dóbr, aby odbierał wszelkie sumy pieniężne jakie dla gen. Milutyna przypadną z pomienionego majoratu od Skarbu, Banku polskiego, od teraźniejszych dzierżawców, od osób prywatnych i z jakichbądź innych źródeł; aby z odbioru kwitował, aby ponosił wszelkie potrzebne wydatki, by na folwarkach na majorat przeznaczonych ustanawiał administratorów, aby oznaczał wysokość dochodów przez nich wnosić się mających. Aby wskazywał warunki do kontraktów z administratorami, i oznaczał czas trwania administracji. Aby rozwiązywał dotychczasowe kontrakty zawarte miedzy dzierżawcami a Skarbem, ażeby domagał się złożenia kaucji przez administratorów, aby takową za swojem pokwitowaniem odbierał, przyjmując na siebie wszelkie zobowiązania względem dającego kaucję. Aby raty przypadające od administratorów odbierał,

i z ich odbioru kwitował. Aby w razie mogących z temiż wyniknąć sporów rozprawiał się z nimi na drodze sądowej, aby zawierał wszelkiego rodzaju akty, aby zajął się uporządkowaniem hipoteki majoratu. Aby podawał wszelkie prośby i skargi do wszelkich władz i urzędów, aby otrzymywał decyzje i rezolucje, aby na takowych poprzestawał, lub od tychże do władz wyższych odwoływał się. Aby prowadził i załatwiał wszelkie interesy z władzami rządowemi i osobami prywatnemi. Wogóle aby spełniał to wszystko, co w opisanych wyżej interesach będzie potrzebnem. Akt ten w obecności dwóch świadków zdziałany, odczytany, przez zeznającego przyjęty i przez tegoż, świadków i rejenta podpisany został nietylko w języku polskim lecz i w ruskim, z tego powodu, że zeznający nie posiada dokładnie języka polskiego, a zna dokładnie język ruski, który również świadkowie i rejent posiadają. Podpisali: tajny radca Jakób syn Aleksandra Sołowjew, świadkowie: Karol Guttner i Kaźmierz Badowski, oraz rejent Stanisław Zawadzki. Własnoręczność podpisu rejenta na kopji wydanej poświadczył w Warszawie dn. 14 stycznia 1868 r. Rogoziński prezes Trybunału cywilnego, a zgodność odpisu z kopji w Miechowie dn. 3 lutego 1868 r. rejent tameczny Michał Kossecki.

Niedługo potem, dn. 21 marca 1868 r. przed tymże rejentem Kosseckim w Miechowie, plenipotent Milutyna, komisarz włościański Stall, zawarł z moim dziadkiem Wincentym Piątkowskim kontrakt na lat dwanaście, co do administracji poręczającej folwarków donacyjnych Siedliska i Strzeżów w sąsiedztwie Miechowa, o 1½ kilometra od miasta na północ leżących, za rubli tysiąc rocznie, co pół roku po 500 rubli wypłacanych. Poprzednio za też same folwarki płacił dziadek Skarbowi czynsz dzierżawny po 100 (sto) rub. rocznie, czyli za oba tylko 200 rub. Owa niska opłata była ustanowiona przez rząd w uznaniu zasług jakie dziadek położył jako naczelnik powiatu miechowskiego w stłumieniu agitacji, usiłującej w r. 1846 rozszerzyć rzeź galicyjską na pogranicze Królestwa kongresowego.

Według nowego kontraktu z pełnomocnikiem Milutyna komisarzem Stallem — podatki, asekuracje, wszelkie opłaty skarbowe i gminne, jak również naprawy budynków ciążyć miały, podobnie jak poprzednio, dzierżawcę. Kaucja rubli tysiąc musiała być wniesiona przez dziadka do Banku polskiego w listach zastawnych ziemskich.

Ojciec mój przeniesiony niedawno z Chęcin do Kielc napowrót, do tamecznego Sądu kryminalnego, jako delegowany czasowo, spodziewał się wkrótce awansu na sędziego w Lublinie a potem w Warszawie, o co czynił starania. Wobec tego mama, która na zdrowiu niedomagała, nie chcąc przeprowadzać się ciągle w dalsze strony, i pragnąc być bliżej swoich rodziców, oraz Hani, która miała być wkrótce oddana do szkół

w Krakowie, na propozycję dziadka objęła na siebie dzierżawę Siedlisk i Strzeżowa, i zamieszkała we dworze siedliskim.

Dworek to był bardzo skromny drewniany, otynkowany grubo, obielony i gontem kryty, z ganeczkiem wychodzącym na piękny stary ogród i łąki, na które prowadziła długa alea topoli włoskich wysmukłych jak cyprysy.

Dwór ten stał przy drodze wiodącej do miasta Miechowa. Zabudowania gospodarcze rozciągały się obok. Od strony północnej stała kuchnia i mieszkania czeladzi. Poza temi obora, stajnia i owczarnia. Od strony zachodniej stodoły i śpichlerz. Dalej ciągnął się duży sad owocowy, otoczony rozległemi łąkami, przez które płynie rzeczka wpadająca pod Miechowem do Śreniawy. Po obu stronach rzeki ku północy stał szereg chat i zabudowań wsi Siedliska, gdzie też znajdował się urząd gminy Wielko-Zagórze. Wieś i dwór siedliski leżą w dolinie wpośród łąk i bujnej zieleni sadów; na południe od nich od strony miasta Miechowa ciągnie się szerokie wzgórze, na którem stoi stary kościołek murowany św. Krzyża, z XVII wieku, zbudowany w r 1648, na początku panowania króla Jana Kazimirza, w pamiętnym roku zawarcia pokoju westfalskiego po strasznej wojnie 30-letniej. Obok kościołka z wysmukłą dzwonnicą drewnianą, w cieniu olbrzymich lip wiekowych, do ściany południowej słonecznej przylegają nasze groby rodzinne. Spoczywa w nich prababka nasza Anna de Godeffroy, matka babci Piątkowskiej, moje małe siostrzyczki Zosia i Milunia, braciszek rodzony Jarosławek i cioteczny Witoldek Yordan, jak to już nadmieniłem.

W lecie 1868 r., podczas pięknej suchej pogody, odświeżono cały dwór Siedliski na mieszkanie dla mamy. Wybielono wewnątrz i zewnątrz, uporządkowano ogród, i uzupełniono meble sprowadzone z domu z Chęcin, przez dodane z sąsiedniego dworu w Zagórzu od dziadków.

Dwór Siedliski przytykał ścianą boczną do drogi wiodącej do pobliskiego Miechowa, od której stała otworem szeroka brama, prowadząca na dziedziniec wewnętrzny do obór, stajni i stodół. Nalewo od bramy było główne wejście do sieni dworu od strony podwórza czyli od północy. Z sieni po lewej ręce leżał pokój jadalny i śpiżarnia, obok której wąskie schody prowadziły na górę czyli na tak zwany strych do suszenia bielizny. Po drugiej stronie sieni naprawo były dwa pokoiki gościnne. Z nich przechodziło się do salonu z dwoma oknami od strony ogrodu, nieco zbyt zacienionemi przez wielkie drzewa rozłożyste. Ustawiono tam meble dawne przywiezione z Chęcin. Z salonu przez gabinet środkowy zaciszny, który zajęła mama dla siebie, szło się do pokoju siostrzyczek: Maryni i Hani, Miecio bowiem przebywał tymczasem u babci w Zagórzu. Po odświeżeniu i obeschnięciu dworu siedliskiego, mama przeniosła się tam od dziadziów z Zagórza na stałe, aby po żniwach zająć się gospodarstwem

na swojej nowej dzierżawie Siedlisk i Strzeżowa, przy pomocy starego rządcy Malarskiego, rolnika doświadczonego i wytrawnego, który mieszkał na drugim folwarku w Strzeżowie w małym starym dworku. O ile Siedliska leżały w dolinie nad rzeczką, o tyle cały folwark strzeżowski stał na wyniosłem wzgórzu, tuż przy szosie głównej warszawsko-krakowskiej, wiodącej do pobliskiego Miechowa. Wuj Bogdan, gospodarujący w Charsznicy odległej o milę tylko, odwiedzał mamę często w przejeździe do dziadziów, i objaśniał w ważniejszych sprawach administracyjnych. W zajęciach domowych Marynia wyręczała mamę i była jej wielką pomocą.

Podczas wakacyj letnich w Zagórzu odwiedzały swoich rodziców, a moich dziadków, siostry mamy. Najbliżej mieszkała w Niegardowie, za Słomnikami, ciocia Wincentyna Zagórska; ta też z dziatwą swą przyjeżdżała częściej, zwykle w niedzielę lub święto wolne od zajęć gospodarskich. Wuj Zagórski rzadziej bo pilnował żniw. Z Radomia przyjechała też z dziećmi ciocia Eugenja Daniewska z mężem, który jako inżynier gubernialny pomiarów włościańskich nabył dom z ładnym ogrodem wpobliżu Poczty radomskiej. Ciocia Justyna Yordanowa mieszkała teraz w Krakowie; tylko jej mąż wuj Władysław Yordan przebywał czasowo w Konstantynopolu, by załatwiać interesy swoich dwóch domów na przedmieściu Ferikje oddanych w dzierżawę. Najstarszego synka Genia przygotowanego do szkół wuj Yordan wysłał z Konstantynopola parowcem, pod opieką kapitana, przez Marsylję. Tam, przybywszy szczęśliwie, kapitan odprowadził chłopczynę na pociąg kolei jadący wprost do Paryża, bez przesiadania się, i oddał pieczy nadkonduktora. Genio z listami polecającemi do książąt Czartoryskich i do innych osób wpływowych, umieszczony został w Szkole polskiej na Batignolles. Tam też później odwieziony został Zygmuś młodszy brat Genia, przez matkę swoją z Krakowa do Poznania, a dalej pod opieką pani generałowej Zamojskiej do Paryża. Obaj chłopcy przetrwali potem w owej Szkole polskiej oblężenie stolicy Francji podczas wojny 1870 roku.

Pod koniec wakacyj mama z Marynią dla porobienia sprawunków, odwiozła do Krakowa młodszą siostrzyczkę moją 10-letnią Hanię, i umieściła ją w szkole klasztornej Wizytek.

Po powrocie mamy z Krakowa i przygotowaniu moich rzeczy do wyjazdu, pożegnałem dziadziów, wujaszka Bogdana, mamę i rodzeństwo, by wyruszyć z powrotem do Warszawy. Tym razem wybrałem się w drogę furgonem pocztowym z pobliskiego Miechowa do Kielc, by odwiedzić ojca, który urzędował tam czasowo jako delegowany do Sądu kryminalnego, i zajmował skromne mieszkanie przy Małym Rynku wpobliżu kościoła katedralnego. Zastałem ojca nad stosami akt karnych zapracowanego. To też miał wkrótce otrzymać urlop kilkotygodniowy dla kuracji w Solcu i zajrzenia do Siedlisk. Po paru dniach

wypoczynku pożegnałem ojca, który mi dał opłatę na wpis uniwersytecki i na podróż. W dalszą drogę wyruszyłem karetą pocztową czyli tak zwaną kurjerką przez Radom. Tam odwiedziłem wujostwo Daniewskich, w ich pięknym domu wpobliżu Poczty. Pogoda sprzyjała, szosa krakowsko-warszawska dobrze utrzymana, przeprzęgi szybkie — więc wkrótce znalazłem się znów na bruku naszej stolicy.

Po przywitaniu stryjostwa Marcelich zaraz po przyjeździe zrana, i odebraniu od nich klucza od mego mieszkania w ich domu przy Chmielnej ulicy, ległem wypocząć po podróży i nocy nieprzespanej, a potem odświeżywszy się, po śniadaniu wyszedłem odwiedzić kolegów.

W kancelarji uniwersyteckiej przechodząc wniosłem opłatę na kurs IV wydziału prawa. Zawiadomienia o rozpoczęciu wykładów jeszcze nie wszyscy profesorowie ogłosili, więc czasu wolnego miałem dosyć. Najprzód zaczęli wykładać: profesor Władysław Holewiński Kodeks cywilny (trzeci ostatni kurs roczny), potem prof. Hipolit Chwalibóg procedurę cywilną, prof. Walenty Miklaszewski procedurę karną, prof. Pląskowski medycynę sądową. Inni potem wkrótce inne przedmioty, przeważnie w godzinach przedpołudniowych.

Przy pierwszem spotkaniu z kolegą Henrykiem Elzenbergiem podziękowałem mu za zastępstwo w redakcji „Gazety handlowej", i sam zacząłem dalej prowadzić jej Kronikę ekonomiczną, co mi zajmowało parę godzin przed południem. Resztę wolnego czasu, głównie popołudniu do wieczora poświęcałem dalej praktyce księgarskiej u p. Hoesicka.

Taka codzienna praca nadmierna podczas dłuższych wieczorów jesiennych w październiku, przy rażącem świetle lamp gazowych, szkodziła mi bardzo na wzrok i spowodowała silne zapalenie oczu. Zmuszony byłem rozpocząć niezwłocznie kurację bardzo staranną, i zaniechać dalszej praktyki w księgarni, gdzie kurz i pył z książek i papierów, ciągle przekładanych, działał drażniąco na oczy.

Żegnając pana Hoesicka, dziękując za naukę fachową i zawsze chętne objaśnienia techniczne, otrzymałem odeń świadectwo następujące:

„Niżej podpisany właściciel księgarni, przy ulicy Senatorskiej nr. 496, zaświadczam niniejszem, jako pan Stanisław Czarnowski, student Szkoły Głównej Warszawskiej, pracował w księgarni mojej jako praktykant przez czas miesięcy dziewięć. Przez cały ten czas sprawowanie się jego było bardzo dobre, tak że nietylko najzupełniejszego zadowolenia mojego, ale i prawdziwego szacunku może być zapewnionym. — Warszawa, dnia 20 października 1868 r. (pod.) Ferdynand Hoesick." obok podpisu pieczęć lakowa z napisem francuskim w otoku: „Librairie et magasin de musique à Varsovie" wpośrodku firma: Ferdinand Hoesick.

Pierwszą poradę na moje chore oczy udzielił mi doktór Szokalski, stary profesor okulistyki w Szkole Głównej. Polecił okłady zimną wodą na płótnie i noszenie konserwów niebieskich. Niewiele to pomogło. Udałem się więc po dalszą poradę do znakomitego okulisty dra Dobrzańskiego, który mieszkał podówczas przy Zielonym placu, i miał bardzo liczną klientelę. Nietylko poczekalnia w pokojach, ale nawet schody, prowadzące na piętro do mieszkania doktora, były zapełnione biedniejszemi choremi. To też doktór bardzo szybko załatwiał się z swojemi pacjentami. Mnie lapisował powieki sinym kamieniem czyli siarczanem miedzi, który sprawiał ból żrący i wyciek łez obfity. Zaraz też potem spieszyłem do domu, by coprędzej opryskać wodą zimną zbolałe oczy i uspokoić się nieco. Owo tuszowanie robiło się codzień, gdyż po zapaleniu oczów, wywiązało się tak zwane zziarnienie błony łącznicy chroniczne czyli trachoma, bardzo trudna do wyleczenia. Wobec natłoku pacjentów u doktora Dobrzańskiego, gdzie trzeba było długo wyczekiwać, dalszą kurację prowadziłem później u równie znakomitego okulisty doktora Narkiewicza-Jodko, który mieszkał wówczas przy ulicy Marszałkowskiej niedaleko Saskiego Ogrodu. Tu dopiero doznałem znacznej ulgi, i kuracja czyniła szybkie postępy. Dr. Jodko bowiem, mimo również bardzo licznych pacjentów, poświęcał każdemu z nich więcej czasu i bardzo starannie leczył. Po zatuszowaniu takoż kamieniem sinym, natryskiwał zaraz powieki rozpylaczem z zimną wodą, co łagodziło ból i uspakajało bardzo. Twarz z wody czystym ręcznikiem ocierał też sam doktór, i nieraz dodawał otuchy słowem pocieszającem o dobrym skutku kuracji. Tem zjednywał sobie coraz większą klientelę, wdzięczność głęboką pacjentów, i pamięć serdeczną za uratowanie wzroku licznym chorym. W gabinecie doktora widnym i obszernym, na osobnym stoliku na dużej tacy zbierały się całe stosy banknotów większych i mniejszych. Ja składałem tam codzień rubla według ówczesnej normy honorarjów lekarskich. Po kilku miesiącach, przy znacznem polepszeniu, polecił mi doktór Jodko przychodzić co drugi dzień, a później co tydzień. Przepisał mi przytem maść glicerynową z octanem ołowiu do zapuszczania po kropli pod powieki, oraz noszenie konserwów ciemnych. Wobec tego, by sobie niezaszkodzić, musiałem też zaniechać pracy wieczornej przy świetle lamp naftowych, które mię bardzo jeszcze raziło. Przy zachowaniu tych przepisów i ostrożności polepszenie czyniło widoczne postępy, tak że zrana i we dnie mogłem już czytać i pisać rzeczy najniezbędniejsze. Z początku kuracji oczu, przy codziennych tuszowaniach powiek u lekarza po południu, szedłem potem dla uspokojenia bólu na przechadzkę nad Wisłę, w Aleje ujazdowskie, lub do Parku łazienkowskiego, gdzie było najczystsze powietrze. Wstępowałem też czasem do Doliny szwajcarskiej, na koncert orkiestry. Na herbatę wracałem do domu, lub do stryjostwa Marcelich. Gdy

było mi już znacznie lepiej, odwiedzałem wieczorem kolegów, znajomych lub krewnych.

Rano wcześnie wstając szedłem na prelekcje. Zapiski robiłem bardzo treściwe rzeczy najważniejszych. W redakcji „Gazety handlowej" dział mój Kroniki ograniczyłem nieco, podając tylko wiadomości najniezbędniejsze. Zresztą wrazie potrzeby zastępował mię tam kolega Henryk Elzenberg, kuzyn redaktora Okręta.

Kolega Leopold Mikulski swemi gorliwemi staraniami doprowadził do skutku druk naszego przekładu „Siły materji" Büchnera we Lwowie, w tłoczni „Dziennika Lwowskiego". Korektę prowadził tam na miejscu jeden z przyjaciół naszych, i donosił nam od czasu do czasu o postępach druku.

Wobec zbliżającego się egzaminu ostatecznego uporządkowałem moje skrypta i zapiski ze wszystkich przedmiotów wykładanych, i kazałem je oprawić w czarne płótno tomami, każdy przedmiot osobno. Tylko wykład trzyletni profesora Holewińskiego Kodeksu cywilnego objął trzy grube tomy. Owe treściwe kursy, pisane wyraźnie i czytelnie rondem, przydały mi się teraz bardzo przy słabych jeszcze oczach. Kolega Jan Maurycy Kamiński, z którym się przyjaźniłem, zachwycony był mojemi skryptami, i prosił mię aby mógł z nich korzystać. Zaproponowałem mu, by u mnie zamieszkał bezpłatnie w jednym z moich pokoików w domu stryja, wspólnie z kolegą Ancypą, na co chętnie się zgodził, z tym warunkiem, aby w razie potrzeby czytał mi głośno moje skrypta, zwłaszcza wieczorami, gdy ból oczu był mi na przeszkodzie. Przygotowując się wspólnie do egzaminu, udzielaliśmy sobie wzajemnie objaśnień i rozważaliśmy kwestje zawilsze przy pomocy podręczników i kodeksów.

Jan Maurycy Kamiński (późniejszy redaktor tygodnika humorystycznego „Kolce") zawsze wesoły i dowcipny, przerywał często naszą mozolną pracę gwoli odpoczynku, a wtedy, rzucając w kąt nasze szpargały, szliśmy w odwiedziny do sąsiadek, lub do znajomych kolegów.

Do pani Mili, mieszkającej ciągle w pałacyku Bromirskich przy ulicy Mazowieckiej, zanosiłem też często świeże kwiaty i nowe nuty, by wieczorem posłuchać jej gry na pianinie, w półmroku lampy przyćmionej abażurem błękitnym. Przy pięknej pogodzie szliśmy razem do Parku łazienkowskiego lub nad Wisłę odetchnąć świeżem powietrzem, płynącem z łąk i lasów dalekich...

Ferje zimowe, Święta bożego narodzenia i nowego roku 1869 przepędziłem, jak zwykle, u stryjostwa Marcelich i stryjenki Ignacowej w kółku rodzinnem, pisując obszernie do rodziców, od których też miałem częste wiadomości. Także na Wielkanoc nie wyjechałem do domu, aby nie przerywać kuracji oczów, która postępowała pomyślnie.

W jednym z listów jaki otrzymałem od ojca z Kielc, odebrałem wiadomość, że starania jego o awans odniosły skutek pożądany, a mianowicie że: Komisja rządowa Sprawiedliwości pismem z d. 4 czerwca 1869 roku № 6202:

„Zawiadamia Pana Czarnowskiego, iż postanowieniem Komitetu Urządzającego w Królestwie (sic) z dnia 16 (28) maja r. b., mianowany został Sędzią Trybunału cywilnego w Lublinie, z płacą etatową rs. 750, oraz dodatkiem rs 75 rocznie z funduszu dla zasłużonych urzędników wydziału Spraw edliwości. Wskutek tego Pan Czarnowski powinien najdalej w ciągu dni 12-tu przystąpić do pełnienia nowych swych obowiązków, za poprzedniem dopełnieniem instalacji. (Podpisano) Dyrektor główny prezydujący: Wosiński, Dyrektor kancelarj: Wł. Holewiński" (nasz profesor prawa cywilnego w Szkole Głównej).

Wkrótce potem od prezesa Sądu kryminalnego kieleckiego, gdzie ojciec urzędował tymczasowo, dostał ojciec takież zawiadomienie, z d. 9 czerwca 1869 r., że:

„Komitet Urządzający w Królestwie, postanowieniem swem z dnia 28 maja b. r. przez reskrypt Komisji rządowej sprawiedliwości z dnia 4 czerwca b. r. № 6202 objawionem, mianował WPana Sędzią Trybunału cywilnego w Lublinie z płacą etatową rs. 750, oraz dodatkiem rs. 75 rocznie z funduszu dla zasłużonych urzędników Wydziału sprawiedliwości. Zawiadamiając o tem W. Sędziego, wzywam Go, aby w zastosowaniu się do reskryptu Komisji rządowej Sprawiedliwości z dnia 2 czerwca 1868 roku № 4832, udał się do miasta Chęcin dla zdania tam służby swemu następcy sędziemu Mierzejewskiemu, i spisania stosownego protokółu, a następnie dla objęcia nowych obowiązków jak najśpieszniej do miasta Lublina udał się. O wykonaniu niniejszego stosownego raportu dla doniesienia o tem Komisji rządowej Sprawiedliwości oczekiwać będę". (Podpisano) Radca stanu: Kleszczyński.

Jednocześnie od prezesa Trybunału cywilnego w Lublinie otrzymał ojciec wezwanie z dnia 9 czerwca 1869 r. № 1522:

„Zawiadamiając W-go Eustachego Czarnowskiego sędziego Sądu poprawczego, delegowanego w tym stopniu do Sądu kryminalnego w Kielcach, iż postanowieniem Komitetu urządzającego w Królestwie z d. 28 maja r. b. mianowany został Sędzią Trybunału tutejszego, wzywam go przeto, aby bezzwłocznie przybył do miasta Lublina dla objęcia powierzonego mu urzędu". (Podpisano) Radca kolegjalny: Grodzicki, Sekretarz Dobrowolski.

Przed wyjazdem do Lublina z Chęcin, ojciec odwiedził mamę w Siedliskach i dziadków w Zagórzu pod Miechowem. Wracając wziął z sobą stamtąd mego młodszego brata dziesięcioletniego Miecia, by go oddać do gimnazjum lubelskiego do klasy I-ej.

Ja w Warszawie, przygotowując się w dalszym ciągu do egzaminu ostatecznego, zacząłem też zbierać materjały do roz-

prawy na stopień magistra prawa i administracji. W redakcji „Gazety handlowej" miałem sposobność poznać bliżej nasze stosunki i obroty giełdowe, i wziąłem je za temat do mojej rozprawy „O giełdzie ze stanowiska ekonomiki i prawa handlowego". Opracowałem ją zawczasu, i miałem w końcu roku gotowy rękopis dla złożenia po egzaminie wstępnym.

W Warszawie wychodziły podówczas dwa pisma poświęcone sprawom społeczno-ekonomicznym, wydawane przez dyrektora Banku Polskiego Antoniego Nagórskiego pod redakcją Wiktora Somera: miesięcznik naukowy „Ekonomista" i tygodnik popularny „Merkury", oba w formie 8-ki książkowej. W „Merkurym" krótkie treściwe przeglądy polityczne wstępne na czele każdego numeru pisywał znakomicie p. Butlar, redaktor działu politycznego w „Gazecie handlowej" mój kolega. Przez niego zapoznałem się z redaktorem Somerem i dyrektorem Nagórnym, którzy mię zaprosili do współpracownictwa. Do „Merkurego" pisywałem krótkie wiadomości z dziedziny handlu i przemysłu polskiego. Do „Ekonomisty" tłomaczyłem z francuskiego niektóre artykuły udzielane mi przez redakcję z czasopism zagranicznych. U p. Wiktora Somera, w jego eleganckiem mieszkaniu przy ul. Niecałej, obok Saskiego Ogrodu, odbywały się zebrania redakcyjne miesięczne współpracowników i przyjaciół, gdzie też od czasu do czasu chodziłem. Było to jedno z ważniejszych ognisk naukowych społeczno-ekonomicznych w Warszawie podówczas, gdzie traktowano wszechstronnie o sprawach i kwestjach bieżących krajowych.

Po ukończeniu wykładów IV-go kursu wydziału prawa ogłoszono wreszcie termin egzaminów ostatecznych. Aby słabych jeszcze oczów nie forsować wieczorami przy świetle lampy naftowej, wstawałem o świcie, brałem kolejno moje oprawne skrypta kursów i szedłem do Parku łazienkowskiego pustego i cichego w tej porze. W rozkosznym chłodzie poranku przeglądałem najważniejsze rozdziały moich zapisek i kwestje zawilsze. Na obiad w południe zachodziłem do najbliższej wówczas restauracji na ulicę Wiejską, gdzie młoda gospodyni niemka, w czystym słonecznym lokalu na parterze od frontu, wydawała obiady dobre a niedrogie po 2 złote, złożone z zupy, pieczeni z jarzyną i legominy. Stołowali się tam jak dawniej przeważnie członkowie licznej orkiestry Bilsego, koncertującej w pobliskiej Dolinie szwajcarskiej.

Egzamin nasz odbywał się dość swobodnie. Profesorowie siadali niekiedy w ławkach na brzegu obok studentów. Z kilku pytań i odpowiedzi odnośnych oceniali zwykle dostateczną znajomość i zgłębienie przedmiotu wykładanego przez się.

Mój egzamin powiódł się pomyślnie. Rozprawa napisana przeze mnie „O giełdzie ze stanowiska ekonomiki i prawa handlowego", przedłożona zawczasu, została przyjęta i uznana za

odpowiednią dla udzielenia mi stopnia naukowego magistra prawa i administracji. Ukończyłem podówczas lat 21.

W końcu roku akademickiego 1869 nasza Szkoła Główna, po 7-mioletnim istnieniu, została zrusyfikowana i przekształcona na tak zwany Cesarski Uniwersytet Warszawski, który nam w kilka miesięcy później wydawał dyplomy drukowane na pergaminie z tekstem ruskim i dwugłowym orłem czarnym, dzierżącym w dziobie cyfrę A II cesarza Aleksandra II-go, panującego podówczas. W przekładzie polskim dyplom mój zawiera tekst następujący:

„Cesarski Uniwersytet Warszawski"

„Stosownie do najwyżej zatwierdzonej w dniu 8 (20) maja 1862 r. Ustawy o oświeceniu narodowem w Królestwie Polskiem, i na zasadzie art. 1 Ustawy Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, a także na zasadzie zatwierdzonych przez p. Ministra oświecenia narodowego 20 grudnia 1869 roku dodatkowych przepisów w tym przedmiocie — niniejszem poświadcza: że Stanisław Jan Nepomucen (trzech imion) syn Eustachego Czarnowski ukończył w roku 1869 kurs nauk w byłej Szkole Głównej, okazawszy na egzaminie ostatecznym postępy dostateczne: w Historji i Instytucjach prawa rzymskiego, Pandektach, Encyklopedii nauk politycznych, Encyklopedji prawa, Kodeksie cywilnym, Prawie hipotecznem, Procedurze i organizacji sądów cywylnych, Prawie handlowem, Prawie karnem i organizacji sądów karnych, Prawie kościelnem, Prawie Państwowem ogólnem i Prawie państwowem Cesarstwa rosyjskiego, Prawie administracyjnem, Prawie międzynarodowem, Ekonomji politycznej i Języku rosyjskim, oraz przedstawił rozprawę uznaną przez Wydział prawny tegoż Uniwersytetu za dostateczną. W potwierdzeniu tego wydano Stanisławowi Janowi Czarnowskiemu niniejszy dyplom na stopień Magistra prawa i administracji byłej Szkoły Głównej. W Warszawie, 29 kwietnia 1870 roku, № 210. Rektor Ces. Uniwersytetu Warszawskiego, Rzeczywisty radca stanu i Kawaler (podp.) Ławrowskij, Sekretarz Wydziału Prawa (podp.) Miklaszewski". (Pieczęć Cesarskiego Uniwersytetu warszawskiego z orłem dwugłowym rosyjskim i adnotacją że „Należna za ten dyplom opłata odebrana i zapisana pod № 252").

Podobnie jak nasza ukochana Szkoła Główna warszawska, zaczęły niknąć wówczas i padać stopniowo inne instytucje polskie pod ciosami osławionego Komitetu urządzającego, aż do samego imienia Królestwa Polskiego przezwanego „Krajem przywiślańskim". Ale ducha narodu siepacze moskiewscy zabić nie zdołali. Wielkie ognisko wiedzy i nauki, jakie rozniecili przezacni przewodnicy, dzielni profesorowie i tysiące wychowańców Szkoły głównej Warszawskiej długo jeszcze grzało i oświecało ponure mroki pokrywające nasz kraj nieszczęsny, skuty w kajdany niewoli.

Niezmiernie miłą pamiątką koleżeńską ukończenia ostatniego naszego IV-go kursu Wydziału prawa i administracji była fotografja zbiorowa. Zawczasu przed egzaminami z końcem roku akademickiego kilku kolegów zajęło się wykonaniem jej w jednym z pierwszorzędnych zakładów M. Trzebieckiego. Oryginał ułożony został przez naklejenie fotografij biletowych obciętych owalnie jednakowo, na tle ornamentacji gałęziowej, na wielkim kartonie, z którego zostało zrobione zdjęcie fotograficzne na dużej kliszy (szerokiej centymetrów 27, wysokiej 34). Z niej wykonano kilkadziesiąt odbić naklejonych na brystolu dla każdego z kolegów, za opłatą składkową, a w upominku ofiarowanych też naszym profesorom i rektorowi w odpowiedniej oprawie. Na fotografji owej wpośrodku licznej grupy kilkudziesięciu studentów z nazwiskami każdego, wokoło symbolicznej postaci Temidy, ułożono grupę 14 profesorów i dziekanów wydziału prawnego z naszym rektorem Mianowskim ugóry. W grupie profesorów umieszczeni zostali: dziekani: Dutkiewicz i Kasznica, oraz profesorowie: Chwalibóg, Miklaszewski, Popiel, Białecki, Holewiński, Budziński, Okolski, Dydyński, Załęski, Okęcki, Korzybski i Oczapowski. Wpośrodku pod Temidą napis ozdobny: „Studenci kursu IV-go Wydziału prawa i administracji w roku 1868—69 — na pamiątkę“. Gdy to piszę dziś (w lipcu 1920 r. w Kielcach) patrząc na mój egzemplarz tej miłej pamiątkowej fotografji, widzę ją zbladłą znacznie i pożółkłą, pomimo starannego przechowania ciągle w tece w suchości i chronieniu od światła. Utrwalenie chemiczne w czasie wykonania kopji nie było doskonałe gdyż nie wystarczyło na lat pięćdziesiąt.

Po ukończeniu egzaminów i załatwieniu formalności uniwersyteckich wziąłem urlop z redakcji „Gazety handlowej“, gdzie jak zwykle zastąpił mię kolega Henryk Elzenberg. Pożegnałem znajomych, krewnych i stryjostwo Marcelich, u których zostawiłem klucz od mego mieszkania. Po roku całym pracy nadmiernej i wytężonej, z upragnieniem odpoczynku wyrwałem się nareszcie ze skwaru letniego, kurzawy, dymu, huku i rozgwaru wielkomiejskiego Warszawy na wieś zaciszną. Wyjechałem jak zwykle rankiem wczesnym, koleją wiedeńską, przez stację Zawiercie i miasteczko Pilicę, wprost do Siedlisk, do mojej najdroższej ubóstwianej matki, do jej dworku tonącego w zieleni drzew i kwiecia wonnego.

Mamę i starszą ziostrzyczkę Marynię zastałem w dobrem zdrowiu, krzątające się koło swego gospodarstwa domowego. Po wiejskiej wieczerzy mlecznej i przechadzce na łąki pobliskie, spocząłem wkrótce w małym pokoiku gościnnym, przygotowanym dla mnie zawczasu.

Wkrótce przybyła też na wakacje młodsza siostrzyczka Hania, po ukończeniu I-ej klasy w szkole Wizytek w Krakowie, skąd ją babcia przywiozła.

W pierwszą zaraz niedzielę pojechaliśmy z mamą i siostrami do Zagórza, dla odwiedzenia dziadziów, u których zastaliśmy też wuja Bogdana, brata mamy, przybyłego z Charsznicy, gdzie stale gospodarował. Wieczorem wróciliśmy do Siedlisk, gdzie i ja z siostrami jąłem się pomagć mamie przy żniwach w polu i w stodołach przy zwózce. Chwile wolne spędzaliśmy w ogrodzie dworskim, na przechadzkach w pole, na łąki, lub pod stary kościołek wiejski, gdzie w cieniu lip odwiecznych, leżąc na miękkiej murawie na pochyłości pagórka, czytywałem z siostrami świeże gazety odebrane z poczty miechowskiej.

Jednego dnia, obok gazet, nadszedł ważny list od kolegi Mikulskiego tej treści:

„Kałuszyn, 20 lipca 1869 r.“

„Moi kochani! Wczoraj otrzymałem od Ksawerego ostatek dzieła „Siły i materji“ w arkuszach, z tytułem i przedmowami oraz list. Ale, na nieszczęście, nie wskazuje mi jeszcze adresu, gdzie egzemplarze dla nas przeznaczone będą złożone. Pisze tylko, że wysyła nam je do Krakowa przez jakąś okazję; ale ponieważ brat wyjechał na wakacje, więc będą złożone u kogoś innego, lecz tego ktosia adresu jeszcze nie wie, i dopiero później nadeśle. Otóż zaniepokojony tem ociąganiem się jego, z uwagi zwłaszcza na Wasz krótki pobyt nad granicą, napisałem odwrotną pocztą do Ksawerego, aby bez żadnej zwłoki czasu uzyskał adres naszego depozytu, i takowy Wam wprost bezpośrednio nadesłał dla uniknięcia krzyżowej korespondencji, któraby nam ze dwa tygodnie czasu zajęła. Sądzę przeto, że najdalej za tydzień powinnibyście otrzymać pomieniony adres; tymczasem jednak uważałem za obowiązek uwiadomić Was o stanie tej kwestji, abyście nie byli niepokojeni mojem milczeniem. Gdyby okoliczności zmusiły Was do wyjazdu wcześniejszego od odbioru książki, bądźcie łaskawi urządzić tak rzeczy, aby kto inny za Was odebrał, a następnie nam nadesłał Przesyłka w kraju jest łatwa (nawet pocztą) głównie chodzi tylko o sprowadzenie z zagranicy. Nie przypuszczam, aby zaszła potrzeba użycia tej alternatywy, jednak przezorność kazała mi ją przewidzieć.

„Całość naszego wydawnictwa robi bardzo dobre wrażenie. Tłomaczenie wyborne. Chociaż trudno przemilczeć, że w ostatnio drukowanych arkuszach papier jest nieco odmienny, przytem tu i owdzie dostrzedz można błędy drukarskie. Z tem wszystkiem nie posiadam się z radości, że praca nasza doczekała się wreszcie publikacji. Całe dzieło ma razem z przedmowami 200 stronic. Sprzedawać je będzie wydawca po 2 złote reńskie i 50 centów. Piszę do Henryka. aby wszelkiemi sposobami rozgłosił o wyjściu naszego przekładu. Gdy odbierzecie od Ksawerego pożądany adres, lub też gdy zrobicie jaki krok w kwestji odbioru naszej ksiażki, bądźcie łaskawi uwiadomić mię o tem, abym nie zostawał w niepewności i niepokoju. — W końcu przyjmijcie serdeczne uściśnienie moje“.

L. Mikulski.

„P. S. -- Ksawery dołączył 5 egzemplarzy swoich do rozprzedaży, powinno więc być razem sztuk 25. Gdyby tam było wielu amatorów, możecie po zbyciu swoich egzemplarzy, sprzedawać także i te komisowe. Zdaje mi się, że będziemy sprzedawać nie niżej jak 2 ruble 50 kop. Przyjechawszy do Warszawy wręczycie Henrykowi sztuki dla niego przeznaczone — co do ilości to pozostawiam tę kwestję Waszej i jego dyskrecji. Egzemplarze moje i Ksawerego zechcecie łaskawie zachować u siebie. Fryczowi sam oddam jeden egzemplarz, chociaż on przymawiał się o dwa, ale trudno być hojnym, gdy się ma tak mało do rozporządzenia". L. M.

W kilka dni potem otrzymałem z Miechowskiej poczty jeszcze drugi list od kolegi Mikulskiego z datą:

„Kałuszyn, 25 lipca 1869 r.

„Kochany Kolego! Pisząc do Was przed kilkoma dniami, napisałem także do Ksawerego, żeby Wam wprost nadesłał adres krakowski. List mój jednak minął się w drodze z listem jego, który dziś odebrałem, i w którym mi pisze, że przesyłkę posłał na skład do Michała Bałuckiego, znanego powszechnie literata, którego z łatwością znaleźć można w redakcji „Kaliny" lub „Kraju". Spodziewam się, że wskutek mego listu Ksawery nadeszle Wam bezpośrednio tę samą wiadomość o Bałuckim; jednak ponieważ sprawa poruczona Wam bardzo mi ciąży na sercu, i nie chciałbym, aby tak dobra okazja spełzła na niczem z powodu niedostarczenia adresu, przeto jeszcze raz trudzę Was niniejszym listem, zawiadamiając że już możecie się w każdej chwili sami lub przez pośrednika zgłaszać do Bałuckiego, którego zna cały Kraków.

„Ksawery nadesłał mi wycinek „Gazety narodowej", gdzie bardzo podnoszą nasze wydawnictwo. Z Henrykiem pisujemy; dziwi się że dotąd od Was nie odebrał żadnej korespondencji dla „Gazety handlowej"; piszcie cobądź: o stanie urodzajów, żniwach i t. p. Ja już posłałem mu kilka wiadomości w tym rodzaju. Zapewne za jakie trzy tygodnie wpadnę do Warszawy na parę dni, to się zobaczymy, bo Wy zapewne też niedługo wyjedziecie. Całuję Was".

L. Mikulski.

„P. S. — O szczęśliwym odbiorze książek bądźcie łaskawi mię uwiadomić pod adresem: L. M. w Kałuszynie przez Warszawę".

Po otrzymaniu tych listów kolegi, korzystając z wyjazdu wuja Bogdana do Krakowa, wybrałem się z nim razem. Tam przedewszystkiem w redakcji „Kraju" odwiedziłem Michała Bałuckiego i otrzymałem odeń pakiet obejmujący 25 egzemplarzy „Siły i materji" Büchnera. Wyjeżdżając z Krakowa ja i wujaszek kilka egzemplarzy ukryliśmy na sobie pod ubraniem. Resztę upakowałem w kuferku z rzeczami pomiędzy bielizną. Na komo-

rze celnej w Michałowicach wsunąłem skrycie strażnikowi parę rubli, aby niezbyt przetrząsał rzeczy przy rewizji. No, i szczęśliwie przewiozło się wszystko do domu.

W Siedliskach dopiero, po przyjeździę z Krakowa, przejrzałem dokładniej naszą publikację. Pod względem typograficznym książka przedstawiała się bardzo dobrze. Pełny jej tytuł na okładce brzmiał:

Ludwik Büchner: Siła i materja, filozoficzne studja na polu doświadczeń przyrodniczych, spolszczył według dziewiątego wydania L. Mulski. — Lwów, czcionkami „Dziennika lwowskiego", 1869". Przedmowy autora i tłomacza obejmowały str. XXIII, tekst 176, w formacie 8-ki.

Tak więc, głównie dzięki gorliwym staraniom i wytrwałości kolegi Mikulskiego ta książka wyszła nareszcie, po paroletnich trudach i długiem oczekiwaniu; dlatego pseudonim tłomacza z jego nazwiska skróconego pomieszczony został w tytule.

Podczas letnich feryj sądowych przybył z Lublina do Siedlisk ojciec z Mieciem na parę tygodni. Obejrzał całe gospodarstwo, i niejedną radę trafną udzielił mamie. Chodziliśmy codzień wszyscy w pole do żniwa. Czasem też na drugi folwark dzierżawny do pobliskiego Strzeżowa, gdzie gospodarował stary rządca Malarski z czeladzią. Wieczorami szliśmy na przechadzkę na łąki rozległe, nad rzeczkę dla użycia chłodnej kąpieli, albo do sadu na owoce. Co niedziela po nabożeństwie w pobliskim Miechowie, bywaliśmy w Zagórzu u dziadziów na obiedzie i kolacji do wieczora. Parę razy odwiedziliśmy też z ojcem wuja Bogdana w Charsznicy, dla polowania na zające i kuropatwy. Od jesieni tego roku dziadek nasz Wincenty Piątkowski dobra Charsznicę przekazał na własność wuja Bogdana swego jedynego syna, aktem hipotecznym z dnia 20 października 1869 r.

Niespodziewanie prędko zeszły wakacje i ferje letnie. Ojciec jako sędzia Trybunału cywilnego musiał wracać do Lublina, aby oddać Miecia do I-ej klasy gimnazjum tamecznego. Siostrzyczkę Hanię mama odwiozła wkrótce do Krakowa do II ej klasy szkoły Wizytek.

Ja, wypocząwszy w ciszy wiejskiej miłego dworka siedliskiego, musiałem też zebrać się z powrotem do moich zajęć w Warszawie. Pożegnawszy dziadków, wujaszka Bogdana, wreszcie mamę i siostrzyczkę Marynię, wczesnym rankiem o świcie jak zwykle, wyruszyłem wózkiem do stacji kolei Zawiercie, przez malowniczy Smoleń, Pilicę, Ogrodzieniec, i stanąłem późnym wieczorem na dworcu wiedeńskim w Warszawie.

Po herbacie u stryjostwa Marcelich, i długiej pogawędce, wziąwszy od nich klucz od mego mieszkania, ległem co prędzej spocząć po trudach podróży.

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu rano, odwiedziłem przedewszystkiem kolegę Mikulskiego, by mu oddać przywiezione

z Krakowa egzemplarze Büchnera „Siły i materji", na które z upragnieniem tak długo oczekiwał. Uradował się niemi wielce. Trzy z nich powierzył mi zaraz dla oddania Henrykowi Elzenbergowi, jako współtłomaczowi. Tak to my niby „grubi materjaliści" poprzestawaliśmy na tych kilku egzemplarzach bezpłatnych książki jako skromnem honorarjum za naszą pracę i mozolne trudy, by ułatwić wydanie przekładu zakazanego przez cenzurę rosyjską — i to z ciągłem narażeniem się na uwięzienie i surową karę w razie wykrycia naszego przestępstwa!

Od kolegi Mikulskiego zaraz udałem się do redakcji „Gazety handlowej" dla doręczenia egzemplarzy Büchnera Henrykowi Elzenbergowi, i podziękowania mu za zastępstwo podczas mojego urlopu letniego, poczem sam zabrałem się do prowadzenia działu Kroniki handlowej. Po przywitaniu mojem z p. Butlarem, współpracownikiem działu politycznego, nadszedł wkrótce z giełdy nasz redaktor Okręt, któremu też podziękowałem za udzielony urlop i zapytałem o najświeższe nowiny.

Przy wolnym czasie wieczorami zachodziłem do stryjostwa Marcelich na herbatę, odwiedzałem stryjenkę Ignacową po jej powrocie z córkami ze wsi Kąty od jej syna Zdzisława, wreszcie sąsiadki moje z drugiego piętra obok, panią S* z córką Klotyldą zawsze wesołą i ożywioną gadulską. Od nich dowiedziałem się, że ich dawna lokatorka pani Mila Z*, po powrocie ze wsi od swych krewnych, przeniosła się z ulicy Mazowieckiej na nowe mieszkanie przy ulicy Wareckiej. Pośpieszyłem tam zaraz odwiedzić ją. Podobnie jak poprzednio, zamieszkała i tu w oficynie bocznej parterowej, w głębi wielkiego podworca ocienionego kilku rozłożystemi drzewami. Osobne wejście do jej mieszkania okolała dzika winorośl gęstą zielenią, zwieszająca się po ścianach w festony bujne fantastyczne. Drzwi pierwsze wchodowe, ze staroświecką klamką bronzową w postaci sfinksa, prowadziły do małego przedpokoju. Drugie stamtąd do pokoiku z kuchenką angielską kaflową. Trzecie wreszcie do obszernego salonu z kominkiem staroświeckim szerokim z marmuru ciemnego, gdzie wgłębi zwieszał się na łańcuszku miedziany kociołek czyli buloar do grzania wody na herbatę. Okna zasłonięte były szerokiemi roletami zdobnemi w malowane bukiety kwiatów różnobarwnych. W pokojach panował miły chłód i półmrok. W salonie naprzeciw kominka stało wielkie łoże miękko zasłane; zboku konsola ze źwierciadłem i kwiatami, wśród których tuberozy roztaczały mocny zapach upajający. Pod drugą ścianą pianino z rozłożonemi nutami. U sufitu zwieszała się ampla z banią różową, dająca wieczór łagodne światło. Zacisznie tam było — z dala od gwaru ulicy, jakby w starym pałacu wiejskim samotnym...

Pani Mila otwarła mi sama, gdym zadzwonił, nie trzymała bowiem stałej służącej tylko przychodnią co rano. Po przywitaniu i krótkich pytaniach zasiedliśmy do herbaty przy kominku, na którym ogień dogasał pod buloarem. A potem zaraz na ży-

czenie miłej gospodyni wybraliśmy się na przechadzką w Aleje Belwederskie i do Parku I tak często w pogodne wieczory tam szukaliśmy ochłody w cieniu bujnej zieleni, nad cichemi wodami stawów Łazienkowskich.

Raz w końcu lata, po dniu upalnym, zapóźniliśmy się nieco wieczorem w odległem ustroniu Parku. Nagle, niespodzianie zahuczał daleki grzmot. Powoli ruszyliśmy z powrotem do miasta. Wkrótce jednak huk grzmotów zaczął się szybko zbliżać. Błyskawice rozdzierały chmury czarne Lunęła nawałnica gwałtowna. Zanim dotarliśmy pod mury Belwederu, wezbrany szeroko strumień wody z Alei dolnej zagrodził nam drogę. Pani Mila bez namysłu, uniosłszy fałdy sukni, przebrnęła szumiące wody, zamoczywszy się niemało. Ja dopadłem do Alei belwederskiej górnej by zatrzymać jedyną dorożkę, której latarnie świecące zdala dostrzegłem, na szczęście pustą wracającą do miasta Zmoknięci nawskróś wsiedliśmy i wkrótce dostaliśmy się na ulicę Warecką. Rozpaliłem zaraz duży ogień na kominku pod wiszącym buloarem. Pani Mila naparzyła herbatę. Usiedliśmy na niskich taboretach przy ogniu, by rozgrzać się gorącą herbatą po niespodzianej kąpieli Tuberozy kwitnące napełniały powietrze ciepłe wonią upajającą.

Pani Mila zrzuciła swoje płytkie trzewiczki przemokłe wodą. Ale z mokremi pończoszkami obcisłemi była sprawa trudniejsza; zaledwie przy mojej usilnej pomocy udało się je pościągać — by przy ogniu kominka rozgrzać zziębnięte nóżki.

Wkrótce nowa fala burzy rozszalała się ze zdwojoną wściekłością. Ogłuszający huk piorunów rozlegał się nad miastem. Błyskawice przeciągłe, mimo przymkniętych okiennic wewnętrznych, oświetlały jaskrawo salon. Pani Mila odeszła od kominka zrzucić z siebie ubranie przemokłe. Ja ponalewałem drugie szklanki herbaty. Nagle wśród błyskawicy olśniewającej ujrzałem Milę w całym blasku nagości posągowej, z włosem rozpuszczonym szeroko na ramionach. Rzuciła się na miekkie łoże i skinęła na mnie z czarownym uśmiechem Rozległ się huk piorunu jeden i drugi.... Wreszcie pomału minęła burza. Cisza głęboka zaległa nad miastem. O świcie porannym wyszedłem z rajskiego ustronia upojony, jakby z innego świata....

Nazajutrz wieczorem, z wiązanką świeżych kwiatów zakołatałem sfinksową klamką do Mili. Mieszkanie było zamknięte, puste! Portjer w bramie objaśnił mię, że matka pani Emilji przybyła rano niespodziewanie, i obie panie wyjechały koleją wiedeńską z dużemi pakunkami za granicę do krewnych. Klucz od mieszkania dla zabrania reszty rzeczy zostawiła siostrze; a panu kazały oddać list. Otworzyłem go zaraz; był w nim tylko bilet wizytowy z zapiską Mili: „Adres mój Użhorod = Ungwar (Węgry) postrestant". Portjer dodał, że pani prosiła, aby listy jakieby przyniósł jeszcze bryftreger, pan odesłał pod adresem podanym.

Zaraz potem udałem się do moich sąsiadek z II-go piętra na Chmielnej ulicy. Pannę Klotyldę i jej matkę zastałem same przy herbacie wieczornej. Nie zwlekając opowiedziałem im, jako nowinę, o niespodzianym wyjeździe pani Mili z matką za granicę.

Na to panna Klotylda odrzekła, że dla niej, to nie żadna nowina, bo te panie już dawno wybierały się do swoich krewnych na Węgiy w interesach familijnych.

Nazajutrz była niedziela. Panna Klotylda zaproponowała mi wspólny spacer do Ogrodu botanicznego z jej znajomemi paniami. Były to: pani Emilja B*, młoda piękna rozwódka, mieszkająca ze swą siostrą Michaliną w Alejach Jerozolimskich w pobiiżu ulicy Marszałkowskiej, w oficynie na parterze. Poszliśmy tam popołudniu z panną Klotyldą, która mię przedstawiła. W krótce nadszedł tam jeszcze brat pani B*, pan Feliks C*, młody człowiek, prowadzący interesy handlowe, jako agent objazdowy jednej z wielkich fabryk warszawskich. Niezwłocznie wyruszyliśmy razem do Botaniki, a potem wieczorem na koncert orkiestry Bilsego do Doliny Szwajcarskiej w Alejach Ujazdowskich.

Po odprowadzeniu tych pań po koncercie do domu, zostałem zaproszony do dalszych odwiedzin, z czego też nie omieszkałem korzystać wkrótce.

Ojciec pani B*, właściciel majątku ziemskiego pod Częstochową, człowiek poważny niemłody, odwiedzał od czasu do czasu swoje córki w Warszawie, przywożąc im zapasy wiktu ałów wiejskich i źwierzynę upolowaną przez siebie, gdyż był zapalonym myśliwym.

Zaraz potem udałem się do moich sąsiadek z II-go piętra
a Chmielnej ulicy. Pannę Klotyldę i jej matkę zastałem same
zy herbacie wieczornej. Nie zwlekając opowiedziałem im, jako
owinę, o niespodziewanym wyjeździe pani Mili z matką za granicę.
Na to panna Klotylda zauważyła, że dla niej to nie żadna
owina, bo te panie już dawno wybierały się do swoich krew-
ych na Węgry w interesach familijnych.

Nazajutrz była niedziela. Panna Klotylda zaproponowała
i wspólny spacer do Ogrodu botanicznego z jej znajomemi
aniami. Były to: pani Emilia B*, młoda piękna rozwódka, miesz-
ająca ze swą siostrą Michaliną w Alejach Jerozolimskich w po-
liżu ulicy Marszałkowskiej, w oficynie na parterze. Poszliśmy
po południu z panną Klotyldą, która mię przedstawiła.
W Ogrodzie nadszedł tam jeszcze brat pani B*, pan Feliks C*
łody człowiek, prowadzący interesy handlowe, jako agent objaz-
owy jednej z wielkich fabryk warszawskich. Niezwłocznie wy-
uszyliśmy razem, do „Bolaski”, a potem wieczorem na koncert
rkiestry Bileego do Doliny Szwajcarskiej w Alejach Ujazdow-
skich.

Po odprowadzeniu tych pań po koncercie do domu, zosta-
łem zaproszony do dalszych odwiedzin, z czego też nie omiesz-
kałem korzystać wkrótce.

Ojciec pani B*, właściciel majątku ziemskiego pod Często-
chową, człowiek poważny, niemłody, odwiedzał od czasu do
czasu swoje córki w Warszawie, przywożąc im zapasy wiktu
ałów wiejskich i zwierzyny upolowanej przez siebie, gdyż był
zapalonym myśliwym.

PRACE HISTORYCZNE, ARCHEOLOGICZNE I INNE
S. J. CZARNOWSKIEGO.

Album przedhistoryczne zabytków ziem polskich i obcych: Fotografje wykopalisk, narzędzi i naczyń, szczątków kostnych ludzkich i zwierzęcych, schronisk i mieszkań jaskiniowych, siedzib, grodzisk, mogił, kurhanów, cmentarzysk i t. p., plany, przekroje i mapy topografizzne miejscowości przeddziejowych. Warszawa — Kraków, 1906 — 1910, tek XX obejmujących 200 tablic.

Polska przedhistoryczna: Badania, poszukiwania, opisy zabytków przeddziejowych, bibljografja, sprawozdania i t. p. Warszawa — Kraków, 1909 — 1914.

I. Literatura przeddziejów Polski i ziem sąsiednich słowiańskich.

II. Dolina Będkowska i jej zabytki przeddzjejowe (z mapą sytuacyjną, 7 widokami, 39 fotodrukami wykopalisk i 2 planami grodzisk).

III. Siedziba paleolityczna na Górze puławskiej (z mapą geologiczną, 2 tablicami i 2 rysunkami w tekście).

IV. Jaskinie okolic Krakowa i Ojcowa i ich zabytki przeddziejowe (z mapą ogólną i 3 kartami specjalnemi jaskiń oraz 3 widokami).

V. Jaskinie i schroniska na Górze Chełmowej na prawym brzegu Prądnika pod Ojcowem (z kartą topograficzną, planami, przekrojami, widokami i 17 tablicami fotodruków wykopalisk przeddziejowych).

Mapa jaskiń okolic Krakowa i Ojcowa. Warszawa, skł. gł. u Gebethnera i Wolffa, 1911, fol. w.

O giełdzie i czynnościach giełdowych, ze stanowiska ekonomiki i prawa handlowego. Warszawa, 1870.

Rys historji księgarstwa, przyczynek do dziejów oświaty. Warszawa, 1880.

Historja handlu powszechnego, z dodatkiem o handlu i przemyśle w Polsce i Rosji. Warszawa, 1881.

Cywilizacja i żydzi, szkic historyczny. Kraków, 1884.

Szkice z wędrówki po ziemiach słowiańskich. Kraków, 1884.

Postępy literatury perjodycznej, studjum z dziejów prasy, z mapą i 8 tabelami statystycznemi. Warszawa 1886.

Dziennikarstwo słowiańskie i polskie. Kraków, 1895.

Rocznik literacki warszawski poświęcony literaturze, bibljografji, oświacie i księgarstwu. Warszawa, 1871—1880, tomów 10.

Literatura perjodyczna i jej rozwój (z mapą i 8 tabelami statystycznemi). Kraków, 1892—1895, 2 tomy w 8-ce, I str. 152, II str. 486, ostatni egzemplarz jedyny u autora, cena 10.000 marek.

Od Wydawnictwa „Pamiętników S. J. Czarnowskiego"

w Kielcach, ulica Hipoteczna 30

Wyszły z druku:

Zeszyt 1. Przedmowa. Wstęp. Rodowód familji Czarnowskich i rodzin z nią spokrewnionych. I. Mój ojciec i jego rodzina. II. Matka moja i jej rodzina. Cena Marek 75.

Zeszyt 2. III. Lata dziecięce moje w Staszowie, Miechowie i Stopnicy (r. 1847 — 1856), rzeź galicyjska. Mk. 150.

Zeszyt 3. IV. Lata szkolne w Kielcach (1856 — 1860), wojna włoska. Mk. 185.

Zeszyt 4. Lata gimnazjalne w Kielcach (r. 1860 — 1864), powstanie styczniowe, bitwa miechowska. Mk. 390.

Zeszyt 5. V. Lata uniwersyteckie w Szkole Głównej w Warszawie (1864 — 1865 r.). Wydział przyrodniczy. Mk. 375.

Zeszyt 6. Lata uniwersyteckie w Szkole Głównej w Warszawie 1865 — 1869 r., Wydział prawa i administracji. Mk. 650.

Pod prasą dalsze części:

VI. Wydawnictwa moje i aplikacja sądowa w Warszawie (1869 — 1873 r.), wojna francusko-niemiecka.

VII. Księgarnia kolportacyjna w Warszawie (1874 — 1880 r.), wojna bałkańska, Włodzimierz Spasowicz.

VIII. Czytelnia publiczna w Warszawie i 1-sza podróż na Wschód południowy (1881 — 1883), wojna egipska.

IX. Podróż na Zachód i pobyt w Nicei (1884 — 1885 r.).

X. Pobyt w Konstantynopolu (1886 — 1890 r.).

XI. Powrót do Warszawy (1890 — 1894 r.).

XII. Pobyt w Miechowie i Ojcowie (1895 — 1917), wielka wojna europejska.

XIII. Pobyt w Kielcach (1918 — 1920 r.), oswobodzenie i niepodległość Polski.

XIV. Zakończenie. Marzenia niespełnione.

„Pamiętniki Stanisława Jana Czarnowskiego", wydawane zeszytami, zawierają wspomnienia z trzech stuleci XVIII, XIX i XX w porządku dziejowym. Zeszyty dotychczas wydane obejmują, prócz dawnych wspomnień rodzinnych (z tabelą genealogiczną), opis lat dziecięcych i czasów szkolnych autora w Kielcach a uniwersyteckich w Warszawie, z mnóstwem szczegółów wielce interesujących o ówczesnych stosunkach pedagogicznych, towarzyskich, społecznych i dziejowych.